TYDZIEŃ

NR 5 (81)
ROK III

1.II 1948
CENA 25 ZŁ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

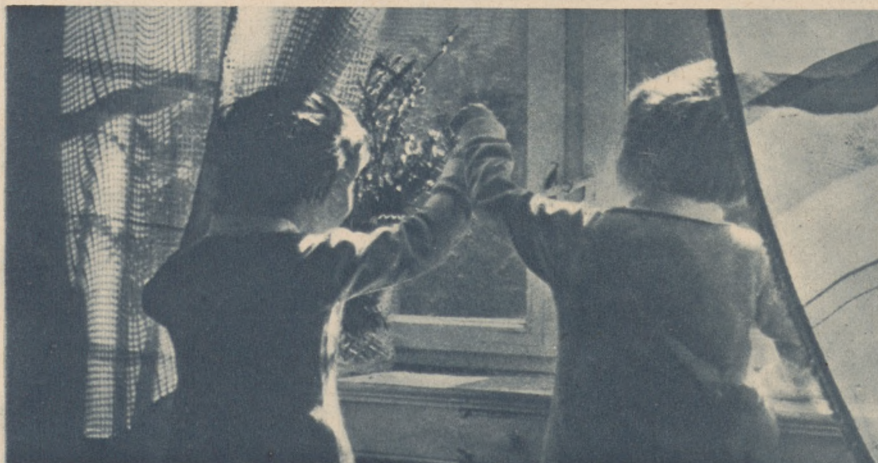


W DZISIEJSZYM NUMERZE: »OPERACJA« JANUSZA MEISSNERA

GÓRY ŚNIEG · LÓD i fanfary olimpijskie



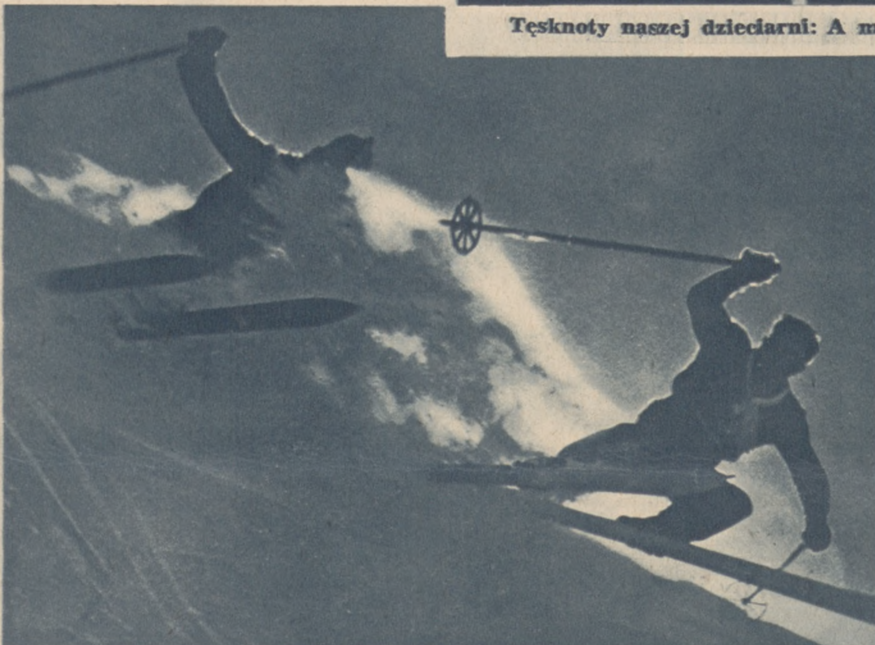
Zima w tym roku zapomniała u nas o śniegu. Do takiej panoramy mogą tylko wzdychać nasi „przegrani" narciarze



Tęsknoty naszej dzieciarni: A może jeszcze przyjdzie mróz i lód?"...



Bajka zimowa. Słoneczny dzień stycznia w Alpach szwajcarskich.



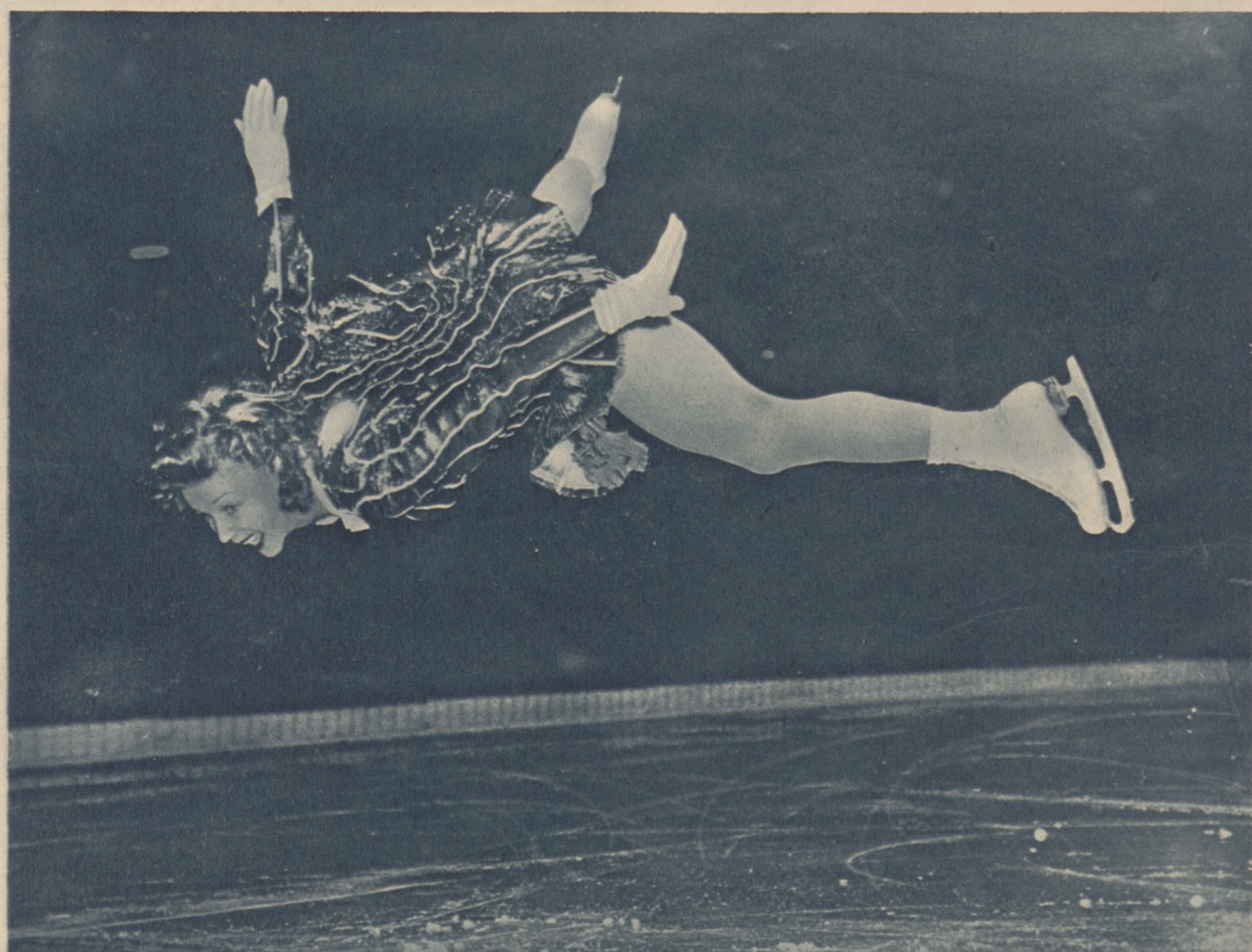
Slalomowcy na wirażu. Szalone tempo biegu zapiera dech w piersiach...



Jedna z najsłynniejszych łyżwiarek świata młodziutka G. Mermill w czasie treningu w St. Moritz (Fot. SAP)



Słynna gwiazda filmowa Norma Shearer jest zapaloną narciarką. Na zdjęciu — artystka po treningu w St. Moritz



Motyl — czy barwny ptak? Kapitalne zdjęcie akrobatycznego skoku na łyżwach. A więc i człowiek potrafi fruwać... (Fot. USSIS)

ALEKSANDER THEN

WIDMO BLOKU ZACHODNIEGO

W Europie zachodniej wyłania się nowa konstelacja polityczna, której trzon stanowić ma sojusz brytyjsko - francuski, zawarty dnia 4 marca ub. roku. Zagadnienie to było już aktualne przed pewnym czasem, wówczas jednak Francja okazała się zasadniczym przeciwnikiem wszelkich bloków w Europie, zarówno natury ideologicznej, jak i każdej innej. Również państwa wschodniej Europy potępiły kategorycznie ideę bloków, które dwukrotnie doprowadziły Europę do wojny i do katastrofy. Zasadniczą przyczyną pierwszej wojny światowej była polityka „balance of power", zainicjowana przez Edwarda VII, który nie mógł spokojnie patrzeć na wzrastającą potęgę hohenzollernowskich Niemiec. Przyczyną drugiej wojny światowej była agresywna polityka „osi", której źródło tkwiło w Berlinie i w Rzymie.

Historia polityczna ostatniej wojny zdawała się rokować powojennej Europie spokojniejszą przyszłość dzięki solidarnej współpracy trzech głównych sojuszników, do których bezpośrednio po wojnie przyłączyła się również Francja. Okazało się jednak, że o wiele trudniejsze do osiągnięcia są cele pokojowe narodów miłujących pokój, aniżeli były cele wojenne. Tym trudniejsze, że naród amerykański pozostał po śmierci wielkiego prezydenta Roosevelta bez doświadczonego ideowego kierownictwa. Rząd amerykański dostał się pod wpływy kół imperialistycznych, które wprowadziły do zagranicznej polityki amerykańską antytezę szlachetnego ogólnoludzkiego kierunku rooseveltowskiego.

Tę zmianę kierunku polityki amerykańskiej odczuwa najboleśniej Europa, która w trudnej sytuacji powojennej szarpana jest sprzecznymi prądami, nie znajdując spokoju po kilkuletniej wyczerpującej wojnie.

Pod wpływem imperialistycznych prądów amerykańskich w niektórych państwach europejskich dokonały się głębokie przemiany natury wewnętrzno - politycznej, których istota zaciążyła jednak na rozwoju sytuacji politycznej całej Europy.

W pierwszym rzędzie przemiany takie dokonały się we Francji. W ciągu niespełna trzech lat od chwili swego wyzwolenia do dnia dzisiejszego Francja odwróciła się plecami do swych tradycyjnych ideałów, które mimo klęski sedańskiej wysunęły ją w wieku XIX na czoło narodów. Przez całe stulecie Francja była kolebką i azylem niezależnej myśli demokratycznej i ducha rewolucyjnego przeciw rządom oligarchii europejskich. Wszystko przemawiało za tym, że tradycja ta utrwalona zostanie w pełnej niepokoju epoce powojennej i że po rozbiciu sił antydemokratycznych w Europie, Francja pozostanie nadal opoką demokracji w zachodniej Europie Tymczasem głębokie przemiany natury wewnętrzno politycznej pozbawiły przede wszystkim samą Francję tak koniecznej równowagi politycznej, co odbiło się również niekorzystnie na kierunku zagranicznej polityki Francji.

W pierwszym okresie powojennym i aż do ostatnich niemal czasów francuska polityka zagraniczna dążyła do utrzymania się w roli mediatora między dwoma potężnymi prądami politycznymi, które przepływały przez powojenną Europę, a których źródłem były na półkuli wschodniej Moskwa, na zachodniej Waszyngton. Nie jest wykluczone, że gdyby polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii zdołałaby zachować swą niezależność od nacisków z Waszyngtonu, polityka Francji potrafiłaby się utrzymać w swej pierwotnej roli, w takiej formie, jaką oglądaliśmy podczas konferencji pokojowej w Paryżu, na posiedzeniu Rady Ministrów Spraw Zagranicznych w Moskwie i na sesji Generalnego Zgromadzenia ONZ. Ale już na konferencji londyńskiej Francja zaparła się tej swojej roli, wprzęgając się zupełnie wyraźnie w rydwan imperialistycznej polityki anglosaskiej. Fakt solidaryzowania się Francji ze stanowiskiem gen. Marshalla w chwili zerwania konferencji londyńskiej postawił Francję w jednym szeregu ze Stanami Zjednoczonymi i z Wielką Brytanią przeciw najżywotniejszym interesom Europy.

Dokonało się to na skutek przesunięć w wewnętrznej polityce Francji, w której punkt ciężkości zaczął się zupełnie wyraźnie przechylać na prawo, szczególnie po kapitalnej rozgrywce między lewicą, a prawicą i po kompromitującym ześlizgu socjalizmu francuskiego ku prawicy społecznej i politycznej.

Zupełnie identyczne przemiany natury wewnętrzno - politycznej dokonały się we Włoszech z tą jednak różnicą, że pozbawione swego przedwojennego mocarstwowego stanowiska Włochy nie odgrywają w tej chwili żadnej aktywnej roli w polityce międzynarodowej.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że decydujący wpływ na te przemiany na terenie zachodniej Europy wywarł plan Marshalla i perspektywa pomocy amerykańskiej, podobnie jak wybitny wpływ na kształtowanie się kierunków brytyjskiej polityki zagranicznej wywarł fakt gospodarczej i finansowej zależności Wielkiej Brytanii od Stanów Zjednoczonych, które po wojnie wyrosły na najpotężniejszego dysponenta finansowego świata. Dziś nie jest już dla nikogo tajemnicą, że wszystko w zachodniej Europie dzieje się pod dyktando imperialistycznych kół amerykańskich. Wpływy tych kół są równie silne we Frankfurcie nad Menem, jak w Paryżu i w Rzymie, jak w Londynie wreszcie.

Zdawało się przez krótką chwilę, że Wielka Brytania zdoła się oderwać od zainicjowanej przez Bevina po wojnie polityki atlantyckiej i podejmie skuteczną politykę kontynentalną, opartą na harmonijnej współpracy mocarstw europejskich. Było to w okresie poważnych różnic natury gospodarczej między Wielką Brytanią, a Stanami Zjednoczonymi, gdy rząd brytyjski wstrzymał konwersję funta na dolary, a rząd amerykański zamroził resztę brytyjskiej pożyczki dolarowej. Różnice zostały jednak wyrównane i min. Bevin pozostał wierny swej polityce związanej ściśle z polityką amerykańską.

Jednym z wykładników tej polityki stał się wysunięty ostatnio przez min. Bevina projekt „konsolidacji Europy zachodniej", konsolidacji, opartej na istniejącym już trzonie sojuszu brytyjsko-francuskiego. Sojusz ten nie wykazał wprawdzie w niczym swego faktycznego znaczenia w ciągu ostatniego roku, tym niemniej zostanie obecnie ożywiony dla celów specjalnych, dla stworzenia nowego, liczniejszego zespołu państw zachodnio-europejskich. Sojusz brytyjsko - francuski ma być otwarty dla krajów Beneluxu: dla Belgii, Holandii i Luksemburga. Nie wiadomo, w jakim celu ma być przeprowadzona ta konsolidacja. Wątpić jednak należy, aby nosiła ona charakter czysto gospodarczy. W Londynie zapewnia się, że projekt zyskał już aprobatę rządu amerykańskiego, co wyraźnie świadczy o zależności wszelkich posunięć politycznych w zachodniej Europie od czynników amerykańskich. W tych warunkach staje się jasne, że ten nowy kombinat zachodnio-europejski jest jednym więcej dowodem czynnej ingerencji imperialistycznych kół amerykańskich w życie polityczne Europy.

Trudno przypuścić, aby w Londynie i w Paryżu nie zdawano sobie sprawy, że tworzenie nowego zespołu państw zachodniej Europy pod wysokim protektoratem amerykańskim pogłębia tylko podział Europy, zapoczątkowany przez plan Marshalla, a usankcjonowany przez zerwanie konferencji londyńskiej. Projekt Bevina jest tym bardziej szkodliwy, że przez tworzenie bloku regionalnego, opartego zupełnie wyraźnie na ideologii powojennego imperializmu amerykańskiego, przeszkadza w konsolidacji całej Europy, a przynajmniej tej jej części, która gotowa jest zawsze przeciwstawić się siłom zła i agresji. Wierna swej tradycyjnej polityce przeciwstawiania się najsilniejszemu na kontynencie europejskim, Wielka Brytania należała w wieku XX do dwóch koalicyj antyniemieckich. Obecnie nie jest wykluczone, że do projektowanego zespołu zachodnio - europejskiego wciągnięte zostanie również utworzone świeżo państwo zachodnio - niemieckie, świadcząc dobitnie o kompromitacji polityki zagranicznej brytyjskiej i francuskiej w obliczu całej Europy i całego świata.

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH
„TYDZIEŃ"
PRZYNIESIE UTWORY:

Mieczysława Guranowskiego, Kazimierza Lasockiego, Janusza Meissnera, Kazimierza Pollacka, Władysława Rymkiewicza, Władysława Smólskiego, Ludwika Świeżawskiego, Zygmunta Wasilewskiego, Tadeusza Wieleckiego, Romana Wojciechowskiego, Jerzego Wyszomirskiego, Jadwigi Żylińskiej i innych.

TAK I NIE

Plan BC

Ostatnia debata w angielskim parlamencie wykazała zadziwiającą zbieżność poglądów przywódcy konserwatystów Churchilla i labourzystowskiego min. spraw zagr. Bevina. Ta jednomyślność w sprawie rozbudowy planu Marshalla w blok zachodnio - europejski została trafnie podchwycona przez jedno z pism londyńskich, które nazwało projekt ten planem BC, od pierwszych liter nazwisk obu polityków.

Zbliżenie labourzystów do konserwatystów i wspólna uległość wobec idei amerykańskich znalazła swój nieoczekiwany wyraz również w zachowanu premiera Attlee i b. ministra Edena. Obaj dżentelmeni zademonstrowali amerykańskie obyczaje w Izbie Gmin, przysłuchując się debatom z nogami na pulpitach. (P)

Dziwne drogi pomocy!

Jeszcze Kongres amerykański nie uchwalił nawet pierwszej raty kredytów dla wykorzystania tzw. planu Marshalla, a już pojawili się nowi apostołowie pomocy Europie. „Tydzień" donosił w ubiegłym tygodniu o dzielnym jankesie, który pragnie zbawić Europę przy pomocy kredytów. W międzyczasie lista „filantropów" została uzupełniona przez fabrykantów papierosów, którzy pragną sprzedać Europie 20 milionów kilogramów tytoniu i 2.000.000 kilogramów miodu, aby nie dopuścić do spadku cen tych tak niezbędnych dla odbudowy zniszczonej Europy towarów na rynku amerykańskim. (P)

Niemcy mogą płacić!

Członek radzieckiej Akademii Nauk napisał list otwarty do angielskiego tyg. „Economist", w którym udowadnia, że biorąc pod uwagę przedwojenne wydatki Niemiec na zbrojenia (4 miliardy dol. rocznie) i na odnowienie parku maszynowego (miliard dolarów rocznie), oraz wyrównanie standartu żywnościowego Niemców z przedwojennym stanem u ich sąsiadów, Niemcy są w stanie płacić odszkodowania wojenne w sumie nie niższej niż 500 milionów dolarów rocznie. Przy tej sumie odszkodowań i racjonalnym wyzyskaniu przemysłu pozostało by jeszcze dosyć pieniędzy na zakup żywności i import surowców. (P)

Ilu jest analfabetów na świecie?

Londyński „News Review" podaje ciekawy wykres, unaoczniający proporcje analfabetyzmu w poszczególnych krajach świata. Najmniej analfabetów — około 1% ludności mają: Szwecja, Niemcy, Wielka Brytania, Finlandia, Dania i Holandia; wśród białej ludności Stanów Zjednoczonych analfabetów jest 1½%, wśród Murzynów 16½%.

We Włoszech mamy 27% analfabetów, w Hiszpanii — 46%, w Bułgarii — 55%, w Chinach — 80% w Indiach — 88%, w Egipcie — 90%

Mussolini i pani Kung

W świeżo wydanej książce Sir Arthura Saltera „Personality in Politics" znajdziemy również sylwetki czołowych polityków chińskich, wśród nich i pani Kung, żony jednego z najzamożniejszych ministrów Czang Kai - szeka, która dzięki swej wyjątkowej inteligencji i wdziękowi jest dzisiaj jedną z najbardziej wpływowych osobistości chińskiego życia politycznego.

Pani Kung złożyła kiedyś wizytę Mussoliniemu. Wizyty u dyktatora włoskiego miały swą ustaloną technikę: pani Kung kazano długo czekać w poczekalni, po czym wprowadzano ją do olbrzymiego gabinetu, gdzie przy biurku w przeciwległym końcu sali siedział Mussolini, pisząc coś z wystudiowaną pilnością. Należało do rytuału wizyt, że podczas gdy onieśmielony gość zdążał ku biurku poprzez całą salę, wielki człowiek nie przerywał pisania. Pani Kung złamała rytuał, zatrzymując się w drzwiach. Mussolini podniósł głowę, skinął nią lekko i znowu zabrał się do pisania. Pani Kung nie ruszała się z miejsca. Po kilku chwilach Mussolini, wyraźnie zirytowany, znowu skinął głową. Pani Kung odkłoniła mu się, stojąc wciąż w drzwiach. Wreszcie po dłuższej chwili Mussolini musiał dać za wygraną: wstał, podszedł do pani Kung i poprowadził ją do biurka, podając jej fotel. (w)

Dziwne ministerstwo

Po dzień dzisiejszy działa w Rzymie Włoskie Ministerstwo Kolonii, chociaż kolonie włoskie znajdują się pod zarządem Aliantów. Nie byłoby w tym oczywiście nic szczególnego, ponieważ Włochy ubiegają się o mandat nad swymi dawnymi koloniami, gdyby nie okoliczność ,że liczba pracowników tego ministerstwa przekracza 7.000. Na jeden pokój wypada podobno około 40 urzędników. Ponieważ nie mogą się pomieścić i nie mają co robić, więc ograniczają się do pobierania pensji.

Skąd wzięła się ta armia urzędników? — To byli pracownicy administracji kolonialnej! (p)

Gerthart Hauptmann hitlerowcem

Kiedy Hauptmann umarł na Śląsku dwa lata temu, podniosły się głosy, że nie można go uważać za hitlerowca, że wielki pisarz musiał tylko — niestety — wchodzić w pewne kompromisy z reżimem.

Złudzenia te rozwiał znaleziony obecnie w papierach pośmiertnych dramat Hauptmanna „Herold", ukończony na kilka tygodni przed zgonem. Jest to hymn pochwalny na cześć rasizmu. (w)

Ostrze na ostrze

GDYBY NIE KOLUMB...

A wszystkiemu, jak się okazuje, winien jest Kolumb. Gdyby bowiem ów żądny przygód włoski emigrant w służbie hiszpańskiej, wysłany na szaber w poszukiwaniu nowych szlaków, wiodących na Ziemie Zachodnie, nie wylądował na nieznanym kontynencie, za miast w Chinach czy Indiach — nie byłoby być może dziś tak potężnej Ameryki, Anglia zaś musiałaby (ku swemu niewątpliwemu pożytkowi) sama sobie poradzić z kłopotami gospodarczymi.

Tak przynajmniej twierdzi angielskie pismo „Daily Express", snując melancholijne rozważania co do realności pomocy gospodarczej ze strony Stanów Zjednoczonych.

Biedny Kolumb, dzielny a nieszczęśliwy żeglarz. Czyż jego to jednak wina, że kraj jego marzeń i tęsknoty zamienił się w kraj złotej pokusy, wodzącej tak często słabe dusze na manowce Tak samo — gdyby pierwsi wynalazcy, którzy dali ludzkości skrzydła, wiedzieli dzisiejsze śmiercionośne bombowce — czy nie woleliby wieść cichego, mieszczańskiego życia, bez pełnych twórczego niepokoju dociekań i dech zapierających, zwycięskich odkryć? Wszystko zależy od tych, w czyim ręku znajdzie się kluczyk do magicznego skarbca. Oni decydują, czy skarb stanie się błogosławieństwem, czy zgubą i nędzą, przekleństwem i zagładą. Tak jest i z amerykańskim złotem, bogactwem co wyrosło na grobach europejskich zdobywców Nowej Ziemi i do której dziś ich prawnukowie w starej Europie wyciągają znużone ręce, zwątpiwszy we własne siły.

Ta pomoc szczera, ta pomoc szybka, ta pomoc bezinteresowna — mogłaby być nadzieją. Ta, której się nie bez słusznych zastrzeżeń przypatrujemy — sprawia, iż zrównoważeni Anglicy poważnie podają w wątpliwość zasługę Kolumba wobec ludzkości.

Bo z tą pomocą było tak. Najpierw powiedziano, że już, że natychmiast. Okazało się, że dopiero w czerwcu, czyli po upływie roku od deklaracji Marshalla liczyć można na uchwalenie potrzebnych sum. Po drugie — właśnie suma Komitet 16 państw, który przez 3 miesiące biedził się cierpliwie nad opracowaniem „zapotrzebowania" poprosił o 30 miliardów dolarów. Potem przyjechał do Paryża zastępca Marshalla, Clayton i zażądał zmniejszenia sumy do połowy. Prezydent Truman w swym orędziu do Kongresu wysunął sumę 17 miliardów dolarów, lecz Kongres mówi już teraz tylko o niecałych 7 miliardach, przeznaczonych na okres 15 miesięcy. Niektórzy politycy amerykańscy żądają nawet ograniczenia pomocy do kwoty — 3 miliardów.

Darowanemu koniowi, jak się to mówi — w zęby się nie zagląda. Przyjęłaby Europa i taką małą łatkę na swój podarty kożuch. Zawsze o jedną dziurę mniej. Ale cóż, kiedy niezbyt hojny ofiarodawca daje łatkę, a chce zabrać kożuch? Tak się bowiem sprawa istotnie przedstawia. Ameryka powiedziała np. że nie życzy sobie, aby kraje Europy zachodniej budowały własne okręty. „My wam sprzedamy nasze"... Złośliwi twierdzą, iż wśród tych zaofiarowanych Europie na sprzedaż okrętów znajduje się także ten, na którym Kolumb wyruszył w swoją podróż. Staruszek trzyma się podobno jeszcze nieźle. Dla Europy w sam raz. I pamiątka historyczna też coś warta. Cóż, robi Anglia? Czym prędzej i bardzo skwapliwie rząd brytyjski cofa przydziały stali dla angielskiego przemysłu okrętowego. Stal — jak twierdzą — potrzebna jest dla celów eksportowych. Wynik — bezrobocie w tej gałęzi przemysłu. Gorycz ludzka, gorzka jak morska woda, po której popłyną cudze okręty.

A Kongres w Ameryce radzi i radzi. „Czy im dać — czy nie dać? Czy do czerwca poczekać?" — powiada jeden. „Dam im trochę, niewiele — za to Niemców obdzielę..." — brzmi chóralny refren. W tej starej nieco frywolnej, wiejskiej przyśpiewce jest też słowo o weselu. Niestety w aktualnym wykonaniu nie ma o tym mowy. Nikt się jakoś nie weseli. A najmniej ci, którym Ameryka obiecuje, że da. Jak powiada prasa brytyjska, Anglicy nie mają ochoty sprzedawać swej niezależności za omlet z proszkowanych jaj i dymek papierosa. I mówią o tym dość głośno, mimo urzędowo nakazanego, propagandowego entuzjazmu.

AVIS

KRONIKA KULTURALNA

SĄ w PRASIE tematy, które by można nazwać „wężami morskimi", tematy powracające co pewien czas, regularnie, od początków istnienia prasy. Zaliczyć można do nich kwestię prostytucji. Jeszcze w roku zeszłym pisał o niej w „Kurierze Codziennym" zmarły prof. J. Wasowski. Z właściwą sobie skłonnością do oryginalnego ujmowania zagadnień napisał: „prostytucja będzie istniała dopóty, dopóki para dobrych pończoch kosztuje 1.500 zł.". I z właściwą sobie erudycją powołał się na papieża Piusa V, który w w. XVI „stworzył specjalną komisję do walki z nierządem". Gdy Wasowski pisał swe uwagi, odbywała się w Ministerstwie Zdrowia konferencja, poświęcona (czy dobrze jest w danym wypadku użyć tego słowa?) prostytucji. Powoływano się tam również na znaną niegdyś powieść radzieckiego pisarza, Pantelejmona Romanowa, pt. „Trzy pary jedwabnych pończoch", która uzależnia rozrost prostytucji od warunków materialnych w ten sam mniej więcej sposób, w jaki „fraternizacja" dzisiejsza w Niemczech łączyła się z tabliczką czekolady. Obecnie w pismach naszych czytamy znowu o prostytucji: „nieubłaganą walkę" wypowiada jej Liga Kobiet, z której inicjatywy zwołana została znowu dn. 15 stycznia Konferencja w Ministerstwie Zdrowia, tym razem z udziałem przedstawicieli ministerstw: Pracy, Sprawiedliwości i Oświaty. I znowu czytamy, że „walkę z prostytucją należy prowadzić przez materialną i moralną opiekę nad kobietą". Naturalnie, że utworzono „Specjalną Komisję", która ma przystąpić do „rozpracowania" problemu. Nie ulega wątpliwości, że czynniki materialne mają duże znaczenie w prostytucji. Wiemy jednak, że bywają dziewczęta w ostatecznej nędzy, które się nie rzucają „w otchłań" i nie „kupczą swym ciałem". Bywają również kobiety, które mają kilkadziesiąt par jedwabnych pończoch i futra, a przecie „sprzedają się" na prawo i na lewo, nie za te marne pięć kawałków, jak warszawskie „gruzinki", ale za coś więcej. Bo prostytucja ma również przyczyny naturalne, psycho-fizjologiczne, jeśli je można tak nazwać: bywają prostytutki z urodzenia, jak bywa tzw. zbrodniarz urodzony. Szlachetni racjonaliści angielscy w. XVIII wierzyli, że na świecie zniknie występek, jeśli wszyscy będą umieli czytać i pisać. Tymczasem, możnaby raczej przyznać rację paradoksowi Rousseau, który dowodził, że w miarę rozkwitu kultury upada moralność. Badania prof. Bronisława Malinowskiego nad życiem seksualnym dzikich potwierdziłyby tę tezę. Nad zagadnieniem prostytucji nie można bimbać ani w felietonach dziennikarskich, ani na konferencjach, rozpracowujących problemy. Aż nazbyt często się zdarza, że po takich bogobojnych konferencjach zmęczeni panowie idą do knajpy z damską obsługą. Prostytucja jest rzeczywiście jedną z klęsk społecznych, kulturalnych, obyczajowych, moralnych, zdrowotnych. Wszelako jest stara jak ludzkość. O tym pamiętać trzeba, gdy się zabieramy — nie do jej „likwidacji", bo to niemożliwe — ale do jej zmniejszenia. Prostytucja była przecie niegdyś obrzędkiem sakralnym, a i dziś taką pozostaje u wielu ludów azjatyckich. Niekiedy się wydaje, że w „akcji" zwalczania prostytucji ważniejsza jest „opieka moralna" nad mężczyzną, niźli nad kobietą. To raczej on doprowadza kobietę do prostytucji, niźli ona sama „rzuca się w jej objęcia". Każdy mężczyzna jest po trochu Pochroniem. Ich trzeba wychowywać. W swoim czasie w koszarach francuskich wisiały wszędzie takie napisy: „Gdy mówisz o kobiecie, pamiętaj zawsze o czterech kobietach: matce, siostrze, żonie i córce". Możeby i dziś wywieszać w koszarach, urzędach, szkołach, nawet w tramwajach — takie napisy?

St. Łatka

Quas
BAŃKI

Nie wierzyłem nigdy w domowe środki.

Z pobłażliwym uśmiechem słuchałem zawsze o cudownym działaniu fajerek, kompresów, ziółek, smarowań, okadzań i zamawiań.

Dziś, na własnej skórze się przekonałem, że byłem w błędzie.

Z ciężkiej niemocy postawiła mnie na nogi żona, przez chwilę nawet nie wahając się w wyborze metody kuracji.

Od rana byłem jakiś niewyraźny.

Bolała mnie głowa, drapało w gardle, straciłem apetyt i zacząłem podejrzanie pokasływać.

Spoglądając czasem w lustro, stwierdziłem z żalem, że gasnę w oczach.

Rozkoszy człowiek nie używa, ale mógłby jeszcze pożyć.

Choćby dzieciaka odchować...

Opanowałem wzruszenie i mówię do żony słabym głosem:

— Źle się czuję... Piersi... A w taką pogodę najwięcej płucnych umiera... Nie chcę cię martwić, Iruś, ale lepiej być na wszystko przygotowanym...

Żona odłożyła tamborek z moją skarpetką i popatrzyła na mnie badawczo.

— Nigdy nie słyszałam, żebyś na płuca chorował, — zdziwiła się. — A co ci jest?

— Ach, — machnąłem ręką z rezygnacją — ostatecznie wcześniej, czy później...

— Czekajże, żona podeszła do mnie zaniepokojona. Pokaż gardło... szerzej!...

— Aaaa!... zabeczałem smutnie.

— Nic nie widać. Zmierzymy gorączkę. Gdzie cię boli?

Rzeczowość żony zagrażała romantyzmowi sytuacji.

Zakaszlałem głucho, przyciskając dłoń do piersi.

— Tu... — szepnąłem przymykając powieki.

Żona podała mi termometr i usiadła przy mnie przyglądając mi się uważnie.

— Już w redakcji źle się czułem, — mówiłem jakby do siebie — i głowa mnie pobolewała... Wacek powiedział, że to może być ropa w przetoce czołowej... Wtedy trepanacja czaszki... A jeżeli przejdzie na drogi oddechowe, to galopujące suchoty...

— Dobraliście się obaj, — wzruszyła ramionami. — Najwyżej mogłeś się trochę przeziębić. Daj termometr.

Było trzydzieści sześć i sześć.

— Może zepsuty... rzekłem rozczarowany.

— Nie, gorączki na pewno nie masz Ale pójdziesz zaraz do łóżka. Postawię ci bańki.

Tego się nie spodziewałem.

Stanął mi w pamięci obrazek z dzieciństwa, kiedy stawiano bańki memu braciszkowi, który wydzierał się przy tym w niebogłosy.

— Cóż tu bańki pomogą? próbowałem zachwiać decyzję żony. — Skąd zresztą weźmiesz dziś bańki, które dawno wyszły z użycia?

— Pomogą ci, pomogą! I są nawet w domu.

Zapomniałem, że bańki stanowiły część wyprawy żony. Kiedyś nawet na przyjęciu, jakie wyprawiłem w czasie jej nieobecności dla przyjaciół, służyły nam jako kieliszki...

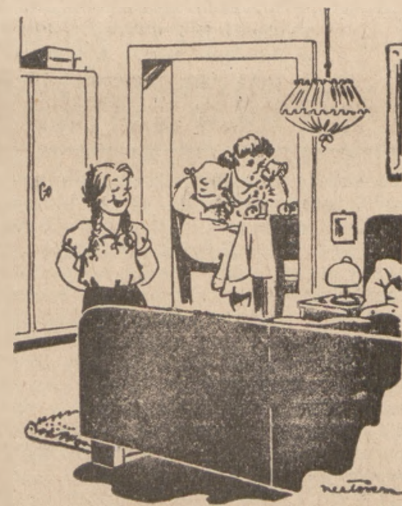
Ludzie chorzy, zazwyczaj ulegają energii zdrowych i poddają się ich tyranii.

Posłusznie położyłem się do łóżka, z niepokojem śledząc przygotowania żony.

Wkrótce w miednicy napełnionej wodą, zagrzechotały złowrogo bańki, a u mojego wezgłowia stanęła płonąca świeca.

W nogach przysiadła córeczka, z rozpromienionym wzrokiem oczekując interesującego widowiska.

Nie mogłem dopuścić by widziała słabość ojca. Wydzierający się brat stał mi ciągle przed oczami.



Córeczka z rozpromienionym wzrokiem oczekiwała interesującego widowiska

— Weźcie dziecko... — rzekłem gasnącym głosem.

Ale się uparła, że musi patrzeć.

— Może zostać, — zdecydowała mama. — Jej też nieraz stawiałam. Weź koszulę pod brodę!

Obnażyłem tors i zacisnąłem powieki.

— Tylko... ostrożnie... — wyjąkałem.

— Nic nie mów, bo mi się i tak ręce trzęsą — głos żony był zmieniony z emocji.

— Uaj! wrzasnąłem nagle podskakując na łóżku. — Gorące!

— Nie krzycz... Bańka musi się rozgrzać trochę... Nic ci nie będzie...

— Nie musi się rozgrzać... — zasyczałem przez zęby. — Bańkę trzeba trzymać jednym bokiem przy samej... skórze! Oj!... I tego... i płomień tylko na mgnienie oka... Oj! Nie umiesz stawiać baniek! Przecież to człowieka diabli!... Oj! palisz mnie!

Otworzyłem oczy i pałającymi źrenicami wodziłem za ruchami żony.

— Uaaa! — ryknąłem znowu.

Bańka przycisnęła gorejący kwacz do mojego ciała, które wydało charakterystyczny swąd spalenizny.

— Żona zdmuchnęła szybko płomień po czym unikając mojego wzroku, z zaciśniętymi ustami zanurzyła lont w spirytusie i przytknęła go do świecy.

Córeczka trzymała się oburącz za głowę ze zgrozą wpatrując się w moje wykrzywione bólem oblicze.

W następnej sekundzie zawyłem dziko!

Z nieotrząśniętego kwacza spadła na moją nieszczęsną skórę kropla płonącego spirytusu, odbierając mi resztę złudzeń co do szczęśliwego końca zabiegu.

— Dość! — zawołałem, zrywając się z łóżka, — Nie dam się spalić żywcem! Wolę trepanację i galopujące suchoty!

Bańki posypały się ze mnie, jak dojrzałe jabłka w czas gradobicia.

Nie były już mi potrzebne.

Muszę przyznać, że postawiły mnie na nogi.

I chrypka i bóle przeszły, jak ręką odjął.

A nie wierzyłem w domowe środki.

Póki nie przekonałem się na własnej skórze...

Quas

TRUDNOŚCI REFORMATORSTWA

Byłem na pewnym przyjęciu. Nie chcę, broń Boże, odpłacić gościnnym gospodarzom czarną niewdzięcznością i odmalować ich w prasie; zresztą stoję zawsze na stanowisku angielskiej zasady „my house is my castle", co możnaby po polsku sparafrazować: wolnoć, Tomku, w swoim domku. Muszę jednak to przyjęcie trochę obgadać, a to dlatego, iż sądzę, że podobne przyjęcia odbywają się w Polsce często („nagminnie" — powiedziałby dziennikarz), stając się tym sposobem pewnym zjawiskiem ekonomiczno - społeczną - obywatelsko-obyczajowo - kulturalnym. że użyję aż tak złożonego określenia. Są, być może, znakiem czasu, desperacką żądzą dogadzania sobie za wszelką cenę, a z drugiej strony — kontynuują najgorsze tradycje, tzw. staropolskie, sformułowane w takich przysłowiach, jak: zastaw się a postaw się... jedz, pij i popuszczaj pasa....

Na przyjęciu było ze dwadzieścia osób. Stół uginał się od jadła i napojów. Kilka gatunków wódki: czysta, śliwowica, żubrówka, wiśniak, nalewka. Sałatka rybna, mięsna, vinaigrette. Kanapki, wymyślne jak marzenia. Majonezy. Łosoś. Ryby w galarecie. Szczupak faszerowany. Zimne mięsiwa. Sosy tatarskie, musztardowe i inne. Barszcz w filiżankach i paszteciki. Roastbeef i kartofelki strugane — cudowne, i kapusta czerwona, surowa, z oliwą. Wino czerwone o należytej temperaturze. Torty, kompoty, czarna kawa, likiery w kilku odmianach, owoce. Smakowite to wszystko, rozkoszne, roznamiętniające zmysły. Przy tym w ilościach gargantuicznych.

Idzie państwu ślinka do ust? Oczywista. Któż nie lubi dobrze zjeść, zwłaszcza po czterdziestce? Jadłem i ja, ale w miarę spełnianych kieliszków posępniałem. Francuzi utrzymują, że są dwa rodzaje wina: radosne i smutne. Moje wino było smutne. Nie dlatego, jakobym był Katonem i świętoszkiem. Przeciwnie: lubię wesołość i chciałbym. żeby wszyscy ludzie byli radośni. Ale nie wiem czemu po którymś kieliszku, zacząłem w duchu obliczać co też mogła taka biesiada kosztować? Jeżeli za litr wódki gatunkowej trzeba płacić prawie tysiąc złotych a litrów tych musiało być najmniej dziesięć? Może to wszystko wyniosło z piędziesiąt tysięcy? Gospodarze są zamożni, to prawda. A ja nie mam prawa pchać swego nosa do cudzego trzosa. Wszelako... Czy nie byłoby dość jednej sałatki. jednej ryby, jednego gatunku wódki — i tam dalej, żeby się to wszystko ograniczyło do dwudziestu, powiedzmy, tysięcy, jeśli już ktoś chce koniecznie uraczyć swoich znajomych? I tak wszyscy by się najedli do przesytu. A co zrobić z pozostałymi trzydziestu tysiącami, jak już ktoś koniecznie chce je wydać?

Właśnie tego dnia z rana, gdy byłem zaproszony na ucztę, przeczytałem w jednym z pism w rubryce „poszukiwanie pracy" ogłoszenie tej treści: „Akademik, wyczerpany kilkuletnim pobytem w obozie ,odpowiedzialny, przyjmie wszelką pracę za utrzymanie". W adresie zaznaczone było: — suteryna. Suteryna — to niedobrze. Po obozie? Wyczerpany? Bardzo niedobrze. Może gruźlica? Gruźlica w suterynie? Nie może być gorzej. Gotów jąć się wszelkiej pracy, byleby mógł zjeść, nie tak jak my na uczcie, ale po prostu talerz posilnej zupy (jak to się mówiło za okupacji — „zawiesistej"), ewentualnie z kawałkiem mięsa.

Może dlatego, że wciąż miałem w pamięci ogłoszenie akademika, apetyt mi nie dopisywał. Stał mi w oczach akademik wyczerpany i chudy jak szczapa. Odpędzałem go w myśli zaklęciem, znanym z szubienicznej anegdoty: odejdź, sam nic jesz i drugim nie dajesz. Nie skutkowało. Obliczałem, że trzydzieści tysięcy, zaoszczędzone na uczcie, możnaby rozdzielić pomiędzy trzech akademików, czy im podobnych chudeuszów. My byśmy byli nasyceni, a każdy z nich przeżyłby jako tako miesiąc...

Czy tego rodzaju rozwiązanie „problemu" uczt, które muszą się przecież odbywać, bo ludzie są ludźmi jest możliwe? Od jednej uczty dajemy procent dla akademików. od drugiej na bezdomne dzieci, od trzeciej na biedne wdowy. obarczone dziećmi, od czwartej na inwalidów itp. Ale ktoś tymi pieniędzmi musi zarządzać i gospodarować, bo w krótkim czasie powstaną z nich miliony. Więc w miejskich wydziałach opieki społecznej tworzy się specjalny referat, do którego składamy (za pokwitowaniem) odpowiednie sumy, i referat ten rozdziela je i zużytkowuje. Jakąś nazwę dla takiego referatu dałoby się wynaleźć, choćby w drodze konkursu.

Powstaje jednak pewne zastrzeżenie: byłaby to filantropijna dobroczynność. A podobno w zorganizowanych, kulturalnych społeczeństwach demokratycznych filantropia nie powinna mieć miejsca, albowiem jest łaską, a łaska to objaw ujemny i rzecz poniżająca naszego współobywatela. Więc zaczynam wątpić, czy w naszym kulturalnym społeczeństwie dałoby się taką ideę „zrealizować". Po drugie. ta idea dobroczynna mogłaby w Opiece Społecznej wpaść w ręce biurokratów. Nasamprzód łupniętoby podatek „od zbytku", procent bowiem od funduszów, przeznaczonych na uczty, określonoby jako wydatek na „przedmioty zbytku". Następnie „rozbudowanoby" referat, przyjęto kilkunastu urzędników, zakupiono ze dwa samochody, zaangażowanoby ze trzy stenotypistki, odpowiadające gustom naczelników referatu, mianowanoby paru zastępców, a wreszcie powołanoby sztab wywiadowców i kontrolerów, którzyby mieli obowiązek chodzenia po suterynach i sprawdzania, czy akademicy i wdowy zasługują na wsparcie. Wytworzyłby się natychmiast system protekcji, i przymilna, choć nie potrzebująca wdówka dostałaby zasiłek na perlony, chudy zaś i brzydki akademik zdychałby po dawnemu z głodu. Na koniec cały ten system pochłaniałby znaczne sumy pobory, wynagrodzenia, diety, dodatki reprezentacyjne, urządzenia lokalu. kartoteki i, kto wie — może znowu jakieś przyjątka, jakieś wódzie dyrektorskie. Fundusze na to wszystko płynęłyby z procentów od uczt. W rezultacie akademik otrzymałby raz na miesiąc sto złotych, a gdyby się upominał o więcej, oburzony kontroler odprawiłby go z krzykiem: jakto? nie dalej jak przed dwoma tygodniami, dostaliście, obywatelu, sto złotych i znowu prosicie? Myślicie, że mamy was tylko jednego? tysiące, obywatelu, tysiące takich jak wy!

Zajadając roastbeef i zapijając go burgundem, myślałem o tych komplikacjach i współczułem rządom, które muszą przeprowadzać reformy. Moja sąsiadka pytała mnie, dlaczego jestem milczący i nudny. Ach, proszę pani — odrzekłem wreszcie z uśmiechem — będę brutalny i zacytuję pani pewne rosyjskie przysłowie: „Kogda ja jem, ja głuch i niem". Sąsiadka się roześmiała, bo wzięła to za dobry dowcip.

Jerzy Wyszomirski

O REWOLUCJI NIESKOŃCZONEJ

PRZYCZYNEK DO DYSKUSJI
(GŁOS W DYSKUSJI NAD ARTYKUŁEM PAWŁA OFIERZYŃSKIEGO)

W gwiazdkowym numerze „Tygodnia" ukazał się artykuł p. Pawła Ofierzyńskiego pt. „Rewolucja nieskończona", mający zainicjować dyskusję na temat niezwykle pasjonujący, na temat chrystianizmu i marksizmu, ściślej: na temat współpracy katolików polskich z ruchem marksistowskim. Nie będę w tym moim przyczynku zajmował niewzruszalnego, ostatecznego stanowiska, a prag nę tylko wtrącić swoje „trzy grosze" do dyskusji w celu pewnego naświetlenia tego bardzo ważnego w dzisiejszycyh czasach problemu.

Prawda, co pisze p. Ofierzyński, że Chrystus był wielkim rewolucjonistą, głoszącym zasady powszechnej miłości i społecznej sprawiedliwości („To jest przykazanie moje, abyście się społecznie miłowali, jako was umiłowałem, Jan 15,12). Zasady tej rewolucji Chrystusowej, którą autor wspomnianego artykułu nazwał „rewolucją nieskończoną", nie zrealizowaną, są najbardziej rewolucyjną dok tryną, jaka kiedykolwiek zaprzątała umysł i myśl ludzką. Obalała ona wszystkie przyjęte, uświęcone stosun ki moralne i społeczne, nie tylko wśród Żydów, ale wśród całej ówczesnej cywilizowanej ludzkości.

P. Ofierzyński pisze, że hasła braterstwa i sprawiedliwości społeczno-ekonomicznej, głoszone przez marksizm są bardzo podobne do nauk Wielkiego Nazareńczyka. Pragnąłbym w moim przyczynku szerzej omówić tę sprawę.

Jezus nie tylko uderzał w patriotyzm plemienny w imię wszechludzkiego braterstwa, w czym był bliski hasłom marksistowskiego kosmopolityzmu, ale tak samo jak Marks, potępiał wszystkie nierówności i sprzeczności systemu gospodarczego, wyzysk człowieka przez człowieka, wszel ki majątek prywatny i wszelkie korzyści osobiste, które są zarazem krzywdą innego człowieka. Kazać wyzuć się swoim zwolennikom z wszelkiego majątku na rzecz „Królestwa Bożego", które dziś byśmy nazwali „wszechludzką społecznością" i oddać się mu z całym zaparciem się swego ja. Kazał pracować dla dobra powszechnego, a nie osobistego, indywidualnego. Na tym polega właśnie jego nauka o miłości bliźniego, którą, choć w trochę innej formie, głosi i marksizm. Chrystus po prostu czuł wstręt do wszelkiego bogactwa osobistego, potępiał więc wszystkich ówczesnych sybarytów i plutokratów, który byli niczym innym, jak dzisiejszymi burżujami i kapitalistami. („A poglądając Jezus rzekł uczniom swoim: Jakoż trudno, którzy pieniądze mają, wnidą do Królestwa Bożego? A uczniowie się zdumieli na słowa Jego. Jezus zasię odpowiedziawszy rzekł im: Dziatki, jakoż jest trudno tym, co w pieniądzach ufają wniść do Królestwa Bożego? Łacniej jest wielbłądowi wnijść przez ucho igielne, niż bogaczowi wniść do Królestwa Bożego"). To „ucho igielne", trzeba dla ścisłości zaznaczyć, to po prostu jedna z bram jerozolimskich, ale tak niewielka, że wielbłąd się mógł przez nią przecisnąć.

Jak widzimy, potępienie przez Chrystusa indywidualnego bogactwa, a ono jest podstawą ustroju kapitalistycznego, liberalistycznego („im więcej jednostek bogatych, tym społeczeństwo bogatsze" — oto maksyma kapitalizmu), zbliża kardynalnie chrystianizm do marksizmu.

Idee miłości bliźniego i braterstwa, zaprzeczające kastowemu egoizmowi klas wyzyskujących, głoszone przez Nauczyciela z Nazaretu, wywołały zgrozę i przerażenie wśród tychże klas panujących, wśród bogatych i możnych ówczesnego świata. Zdawało im się, że świat, oczywiście ich świat, wali się im spod nóg i dlatego wszystkimi dostępnymi środkami zwalczali Jego naukę, doprowadzając do Jego śmierci na krzyżu w kwiecie wieku. Nie rozumieli Go przytem, bo oszołomiła ich wizja nowego świata, zbudowanego na Jego zasadach, świata w którym nie byłoby niesprawiedliwości społecznej, nie byłoby jednostek bogatych, ani przywilejów klasowych tylko — miłość. Czyż nie budująca jest Jego nauka i czyż nie bliska (z pewnej strony oczywiście) teorii marksistowskiej?

To są w ogólności podobieństwa między chrześcijanizmem a marksizmem. Ale aby wierzący chrześcijanin, katolik mógł, nie wyrzekając się swej wiary, współpracować z marksistą, nie może ten ostatni poruszać spraw związanych z jego stosunkiem do religii i teologii, ze swą filozofią materialistyczno - ateistyczną, wykluczającą istnienie Boga, moralności ponad czasowej, wiecznej i duszy nieśmiertelnej.

Ta obawa katolików przed ateizmem marksistów osiągnęła swój kulminacyjny punkt w encyklice papieża Piusa XI. „Divini Redemptoris", wydanej w 1937 roku, potępiającej marksizm jako „komunizm bezbożny", jako „plagę szatańską". Papież, a był to okres ślepej nagonki na marksizm, nie stronił od zwykłych chwytów demagogicznych i pisał: „Komunizm okrada człowieka z jego wolności — duchowej podstawy, jego moralnego postępowania, odbiera osobowości ludzkiej to wszystko, co stanowi o jej godności, to wszystko, co się sprzeciwia w imię moralności najazdowi ślepych instynktów. Jednostce wobec kolektywu nie przyznaje się żadnego z praw, które są naturalnymi prawami ludzkiej osobowości; osobowość w systemie komunistycznym jest tylko kółkiem w maszynie... gdy w sercach ludzkich zaciera się nawet sama idea Boga, wówczas ich wyzwolone namiętności pchają ich ku najdzikszemu barbarzyństwu."

Tu Pius XI zahaczył o jeden z najważniejszych w tej sprawie problemów, o problem indywiduum i kolektywu, jednostki i społeczności, zbiorowości. Tu personalizm chrześcijański, aczkolwiek daleki od mieszczańsko - liberalistycznego, skrajnego indywidualizmu, wyraźnie jest sprzeczny z marksistowskim kolektywizmem. Chrześcijanin uważa za dogmat, że człowiek jest dziełem Boga, stworzonym na Jego podobieństwo, co kategorycznie odrzuca materializm marksistowski, tak samo jak istnienie nieśmiertelnej duszy, czyli inaczej osobowości ludzkiej. A właśnie chrystianizm uważa jej istnienie za jeden z najważniejszych rekwizytów swego systemu religijnego. Tu zaczyna się nić nieporozumień i różnic między materialistyczno - realistycznym stanowiskiem marksisty, a metafizycznym, mimo, że gnostycznym spojrzeniem chrześcijanina. Chrześcijanin, chcąc nim pozostać, żadną miarą nie może się wyrzec swego stanowiska, a marksista uważa znów za jedno ze swych zadań walkę z religią i nazywa ją mitem, czymś zmyślonym przez jednych ludzi, przez egoistyczną elitę, dla ogłupiania innych, mas ludowych w celu wyzyskiwania nieświadomości tych mas dla swych celów. Chrześcijanin nie może się wyrzec twierdzenia, że pochodzi od Istoty Wyższej, od Boga, nieskończenie doskonałego, rządzącego całym wszechświatem. Nie może pojąć, że moralność jest tworem ludzi, uwarunkowanym historycznie, wierzy w moralność wieczną, objawiającą się w głosie sumienia. Chrześcijanin twierdzi, że jeśli nie istniałby Bóg, człowiekowi wolno byłoby wszystko zrobić, co byłoby największą klęską, a nie rozumie społecznej moralności marksistowskiej. Dlatego tak trudno jest chrześcijaninowi pogodzić się z doktryną materializmu dialektycznego. Chrześcijanin, jak już nadmieniłem może ściślej współpracować z marksistą, jeśli ten ostatni nie będzie zaczepiał jego postawy wobec Boga, religii, a także wobec Kościoła (u katolików). Marksiści twierdzą, z dużą dozą słuszności, że wiarę chrześcijan, ściślej katolików, wyzyskuje duchowieństwo, kler, solidaryzując się prawie zawsze z reakcją. I tak intelektualista i marksista francuski Roger Garaudy w swej nadzwyczaj cennej rozprawie, ogłoszonej w „Kuźnicy", a wydanej ostatnio przez Spółdzielnię Wydawniczą „Książka" pt. „Komunizm i moralność" pisze: „Chrześcijanin jest obowiązany podporządkować się wyrokom boskim. Lecz te wyroki są mu komunikowane za pośrednictwem Kościoła, który w rzeczywistości solidaryzuje się z każdą formą konserwatyzmu i uprzywilejowania".

Kościół jest dla katolika najwyższym obok Boga duchowym autorytetem, któremu Chrystus za pośrednictwem św. Piotra zlecił panowanie duchowe nad ludźmi, zlecił „rząd dusz". Dlatego w pojęciu katolika wszelki atak na Kościół, a Kościół to dla marksisty bastion reakcji i zacofania, jest napadem na jego wiarę.

Oczekując od wojującego marksizmu radykalnej walki z Kościołem, czuje on do owego nieufność i lęk i zrywa się do słusznego jego zdaniem protestu

To właśnie wywołuje łańcuch zadrażnień i nieporozumień pomiędzy katolikiem i marksistą i uniemożliwia mu zrozumienie się wzajemne, skofrontowanie swych idei, które pod względem miłości bliźniego, sprawiedliwości społecznej i ekonomicznej są tak bardzo pokrewne.

O tym, że współpraca katolicyzmu z marksizmem jest jednak możliwa, świadczy fakt, że we Francji i Włoszech daje się zauważyć ruch współpracy marksistów i katolików, a we Francji mamy grupę intelektualistów katolickich, solidaryzujących się z marksistami i dążących do zjednoczenia obu obozów do walki z siłami wstecznictwa, z burżuazją i popierającymi ją wolnomyślicielami, masonerią. Ci postępowi katolicy uważają, że enuncjacje papieży, ogłaszane w encyklikach „Novarum Rerum" (Leon XII 1891) i „Quadragesimo Anno" (Pius XI 1931), są przestarzałe i dlatego nie potrzeba ich brać w rachubę. A w nich papieże, zwierzchnicy Kościoła, dali wyraz najwyższego potępienia marksizmu i pobłogosławili kapitalistyczny ustrój („Robotnicy przyjmą bez niechęci miejsce, jakie im wyznaczyła Opatrzność Boska" — „Quadragesimo Anno").

Decydująca część kleru katolickiego także i polskiego, odrzuca wszelki kompromis z marksizmem i kieruje się wypowiedziami papieży. W ten sposób pisze ks. St. Mystkowski w nr 20 „Tygodnika Warszawskiego" z dnia 18 maja 1947 r. w art „Szkodliwy kompromis" o katolikach, szukających kompromisu z marksistami: „Pod pozorem uruchomienia sił katolickich dla dzieła odbudowy i reform społecznych zmierzają oni do przyznania państwu całkowitej wszechwładzy w zakresie prawa małżeńskiego i wychowania młodzieży. Te postulaty są niezgodne z prawem Bożym. Kościół nie jest mocen zrzec się swych uprawnień w stosunku do sakramentu małżeństwa i religijnego wychowania dzieci w rodzinach i szkołach. W tych sprawach nie może być kompromisu, ani ustępstw na korzyść doktryny materialistycznej Zresztą sami przedstawiciele tej doktryny także wykluczają możliwość kompromisu".

W tym samym artykule pisze autor o encyklikach papieskich, potępiających marksizm i wyłożonych w nich zasadach, że „zasady te są wciąż aktualne i stanowią jedyną drogę wyjścia z labiryntu współczesnych powikłań społecznych i waśni klasowych".

Jak widzimy „góry katolickie" odrzucają wszelką współpracę z marksizmem. Dlatego jedyną, zdaje mi się, drogą wyjścia jest dla marksistów, szukających porozumienia, zwrócenie się wprost do zwykłych owieczek katolickich i nie oglądanie się na ich pasterzy. Ale w tym trudność, że te owieczki nie chcą opuścić swych pasterzy i ufają im (abstrahujmy od tego, czy słusznie, czy nie).

ADAM OKULSKI

Kalendarzyk historyczny

25 styczeń

1348 Trzęsienie ziemi w Krakowie.
1588 Zwycięstwo Jana Zamoyskiego pod Byczyną.
1821 zm. Maciej Kamieński.
1831 Sejm Królestwa Polskiego detronizuje cara.
1873 ur. się znakomity krytyk Karol Irzykowski.
1883 ur. się Wacław Grubiński.
1943 zm. zamęczony w Dachau biskup wrocławski Michał Kozal.
1945 Wyzwolenie Ostrowia Wielkopolskiego.

26 styczeń

1507 Koronacja Zygmunta I.
1823 zm. Edward Jenner.
1826 zm. Ks. Stanisław Staszic.
1861 Otwarcie Konserwatorium Muzycznego w Warszawie.
1934 **Podpisanie paktu nieagresji między Polską a Niemcami.**

27 styczeń

1506 Wydanie Statutu Łaskiego.
1510 Pożar salin w Wieliczce.
1756 ur. się Wolfgang Mozart.
1862 ur. się Eugeniusz Steinach.
1901 zm. Giuseppe Verdi.
1905 Początek powszechnego strajku w Warszawie.
1945 Wyzwolenie Poznania, Torunia, Sosnowca, Dąbrowy Górniczej, Mysłowic i Oświęcimia.

28 styczeń

814 **zm. Karol Wielki.**
1547 zm. Król Henryk VIII.
1573 Konfederacja Warszawska dyssydentów.
1611 ur. się Jan Hewelius.
1687 zm. Jan Hewelius.
1725 zm. Piotr Wielki, car rosyjski.
1819 zm. Jan Kiliński, bohater Insurekcji Kościuszkowskiej.
1831 Utworzenie Komitetu dla spraw polskich w Paryżu.
1856 ur. się prof. Aleksander Brückner.
1861 zm. Henri Murger, autor „Cyganerii Paryskiej".
1884 ur. się prof. Piccard, znany z lotów do stratosfery.
1886 Powieszenie czterech członków org. socjalistycznej „Proletariat".
1903 zm. Robert Planquette.
1923 Pierwszy zjazd NSDAP w Norymberdze.

29 styczeń

1477 zm. Grzegorz z Sanoka.
1593 Założenie poczty w Polsce przez Stefana Batorego.
1720 ur. się komediopisarz Franciszek Bohomolec.
1831 Powołanie Rządu Narodowego Polskiego.
1837 zm. poeta rosyjski Aleksander Puszkin.
1856 ur. się historyk liter. polskiej Aleksander Brückner.
1866 ur. się Romain Rolland, pisarz francuski.
1871 Kapitulacja Paryża.
1876 ur. się Adam Grzymała Siedlecki.
1911 zm. Wacław Nałkowski.
1913 zm. poeta Kazimierz Laskowski (El).
1916 Otwarcie Teatru Polskiego w Warszawie. Pierwsze przedstawienie „Kordiana".
1918 zm. Jan Kisielewski.
1922 Egipt uzyskuje niepodległość.
1945 Wyzwolenie Zagłębia Dąbrowskiego.
1946 zm. taternik Józef Oppenheim.

Film TYGODNIA

XXV — LECIE OM TUR-U.



OM TUR obchodziła XXV-lecie swego istnienia. Na zdjęciu: uroczyste wręczenie legitymacji członkowskich w kole Warszawa - Żoliborz.
SAP



Występy świetlicowe Koła OM TUR Warszawa - Północ. Kostiumy własnego pomysłu uszyte systemem gospodarczym przez członkinie.
SAP

ZEBRANIE AKTYWU „SPOŁEM"



W niedzielę 25 stycznia br. w gmachu „Społem" w Warszawie odbyło się zebranie aktywu spółdzielczego województwa warszawskiego.
SAP

NA ŚNIEŻNEJ ARENIE OLIMPIJSKIEJ
w St. Moritz

W dniach od 30 stycznia do 8 lutego trwać będą w St. Moritz V-te zimowe igrzyska olimpijskie. Do igrzysk zgłosiła się rekordowa ilość ponad 2.000 zawodników, reprezentujących 30 państw z całej kuli ziemskiej. W St. Moritz reprezentowana będzie i Polska, podobnie jak na wszystkich czterech poprzednich olimpiadach zimowych.

Pierwsza olimpiada zimowa w Chamonix (1924 r.) nie przyniosła nam laurów. Narciarze nie odegrali roli godnej zanotowania, a z łyżwiarzy jedyny przedstawiciel tej dziedziny sportu Jucewicz zajął ogólnie 8-me miejsce na 15 sklasyfikowanych. W St. Moritz (1928 r.) Bron. Czech był 10-ty w kombinacji norweskiej. W Lake Placid (1932 r.) Br. Czech był 7-my w kombinacji i 12-ty w skokach otwartych. Hokeiści zajęli 4-te miejsce (ostatnie) przegrywając wszystkie mecze. Wreszcie w ostatnich przed wojną igrzyskach w Garmisch Partenkirchen (1936 r.) osiągnęliśmy najlepsze wyniki: w konkursie skoków Stanisław Marusarz był 5-ty, a w kombinacji klasycznej 7-my, sztafeta 4x10 km. zajęła 7-me miejsce na 15 zespołów sklasyfikowanych, a łyżwiarz Kalbarczyk był 9-ty na 10 km.

Udział Polski w St. Moritz ograniczy się jedynie do narciarstwa. Ustalenie składu reprezentacji poprzedziły zgoła osobliwe okoliczności. Związek Narciarski długo wzdragał się przed ogłoszeniem listy reprentantów. Okazało się, że do St. Moritz chcieli jechać wszyscy narciarze z grupy olimpijskiej w liczbie około 20. Wyższe władze sportowe ograniczyły liczbę do 11, co spowodowało małe „rozruchy" wśród narciarskiej „ekstraklasy", uśmierzone dopiero przybyciem do Zakopanego delegata P. K. Olimp.

Trudno właściwie zorientować się, jakimi normami kierowały się nasze władze sportowe, decydując się na udział Polski w olimpijskim narciarstwie, jeśli jednak w rezultacie postanowiono, że do Szwajcarii pojadą tylko narciarze, decyzja jest słuszna, bo bez względu na wyniki, udział Polski w igrzyskach jest koniecznością już choćby dlatego, aby zadokumentować żywotność polskiego sportu, który po ciężkich stratach wojennych odbudowuje się w olbrzymich trudnościach. Nie liczmy jednak na sukcesy, a jeśli narciarzom naszym powiedzie się, będzie to tym milsza niespodzianka.

Odnośnie hokeistów popełniono wielki błąd, odwołując ich udział w olimpiadzie. Błąd ten ma szereg elementów. Na co liczyły nasze władze sportowe, organizując kosztowny obóz przedolimpijski dla hokeistów? W Polsce nie ma warunków do uprawiania hokeja, a obecna zima była specjalnie „pechowa". Słuszny więc wyjazd naszej drużyny na trening do Czechosłowacji, gdzie wiodło się im różnie: przegrywali, remisowali i wygrywali, ale najważniejsze, że w ogóle grali. Z kolei pojechali na turniej do Szwajcarii, gdzie w trzech spotkaniach zremisowali, wygrali i przegrali. Na lodowisku olimpijskim mogło być różnie, ale nawet zajęcie odległego miejsca nie byłoby żadną „hańbą" dla odradzającego się sportu polskiego. W St. Moritz z pewnością oczy wszystkich narodów nie będą wpatrzone tylko w Polskę...

Skoro na przygotowania hokeistów wydano wiele pieniędzy, nadto zaś są oni już w Szwajcarii, należało pozwolić im wziąć udział w olimpiadzie, zważywszy na niewątpliwe dodatnie skutki udziału w tej największej imprezie na świecie. Spokojni o opinię „świata", można byłoby również nie obawiać się gromów polskiej opinii sportowej, która doskonale orientuje się w warunkach, w jakich sport w Polsce stawia pierwsze po wojnie kroki i na pewno nie oczekiwałaby „cudów" od naszej drużyny hokejowej, tak jak i nie oczekuje ich również i od narciarzy.

Podczas, kiedy my w kraju nie oczekujemy sukcesów od naszych reprezentantów, uwaga całego świata sportowego zwrócona jest na tych, którzy rozegrają na arenie olimpijskiej bój o pierwsze miejsce. Podobnie, jak w poprzednich igrzyskach o palmę pierwszeństwa mogą ubiegać się Skandynawowie, którym zagrozić są w stanie jedynie USA.

Pod względem zdobyczy technicznych obecna olimpiada prześcignie wszystkie poprzednie. W dobie „bomby atomowej nie dziwi nas podróż samolotem do St. Moritz reprezentacji Australii, obsługa olimpijska 800 stacji radiowych, audycje telewizyjne i dalekopisy, zainstalowane w pokojach hotelowych iluś tam setek dziennikarzy.

Olimpiada w St. Moritz nie pozbawiona jest i aspektów politycznych. Libanon „zagroził" organizatorom, że jeśli na stadionie olimpijskim pojawi się flaga Palestyny Libanon wycofa się z igrzysk.

Nie bez pikanterii jest fakt przybycia do St. Moritz dwóch reprezentacji hokejowych USA, z których obie roszczą pretensje do obrony barw Ameryki na olimpiadzie. Związek, mający poparcie wyższych władz sportowych USA, grozi wycofaniem całej reprezentacji Ameryki z olimpiady w razie, gdyby „jego" reprezentacja nie była dopuszczona do udziału w hokeju.

W olimpiadzie startuje i Austria, która nie miała tyle taktu, aby zrobić sama selekcję wśród swoich zawodników i narażiła się na odmowę Szwajcarii udzielenia wiz dwum „reprezentantom" Austrii, którzy tak niedawno jeszcze należeli do... S.A.

Zygmunt Weiss



Było to w maju roku 1945. Na posterunek brytyjskiej żandarmerii polowej (MP), nad Odrą, zgłosiła się grupa złożona z dwunastu Niemców, podając się za urlopowanych członków niemieckiej tajnej policji polowej (Geheime Feldpolizei) — G.F.P.). Z właściwą Niemcom bezczelnością jako powód zgłoszenia na posterunek podali chęć.... powrotu — i to jak najszybszego — do swoich rodzin.

M.P. bez zastanowienia uwięzili tych tak familijnie nastrojonych hitlerowskich hycli, po czym przekazali ich najbliższej jednostce Intelligence Service. W dwa dni potem przesłano tajemniczych urlopowiczów pod Bremę, do brytyjskiego biura wywiadowczego celem wstępnego przesłuchania.

Oficerowi, który przyjął niemieckich więźniów w dzień po ich przybyciu, wydali się oni od razu wyjątkowo podejrzani, wobec czego przekazał ich dalej do specjalnego Centrum Przesłuchania, podając jako powód ich przekazania „zbyt wiarogodne dokumenty"

Dwunastu członkom G.F.P. kazano się całkowicie rozebrać i poddano ich szczegółowej rewizji, takiej, jaką stosowano z reguły w wypadkach poważnych Zrewidowano nie tylko ich mundury, ale zajrzano dosłownie wszędzie: do butów, pod zelówki, pod podszewki i wszystkie ściegi, oraz, do wszystkich „zakamarków" ich ciał. Nie znaleziono jednak nic.

Zaczęło się przesłuchanie. Sprawdzono nazwiska, adresy, stopnie, legitymacje i daty udzielonych urlopów.

W chwili, kiedy to wstępne przesłuchanie skończyło się, jeden z aresztowanych hitlerowców wysunął się naprzód, oświadczając:

— Jestem adiutantem Heinricha Himmlera.

Badający nie zdążyli ochłonąć jeszcze z oszołomienia, jakiego doznali po tym oświadczeniu, kiedy uszu ich doszło jeszcze bardziej sensacyjne wyznanie:

— Himmler jestem, Heinrich Himmler...

Brytyjscy wywiadowcy spojrzeli z niedowierzaniem na stojącego przed nimi nagiego Niemca z czarną opaską na oku.

— Heinrich Himmler jestem — powtórzył były szef Gestapo prostując się jakby na baczność i zdejmując opaskę. — Muszę natychmiast zobaczyć się z marszałkiem Montgomery. Mam mu wyjawić rzecz niezwykłej wagi.

Kilka kilo tłuszczu i wąsy — oto, co należało dodać w wyobraźni do postaci Niemca, stojącego przed obliczem brytyjskich oficerów, by zidentyfikować go nieomylnie z istotnym szefem Gestapo. Po udzieleniu odpowiedzi na kilka pytań znów zażądał widzenia się z marsz. Montgomery.

— Wiadomo mi ze źródła absolutnie pewnego — powiedział Himmler że Rosjanie mają zamiar przekroczyć Łabę i zaatakować armię angielską. Mogę również dać marszałkowi kilka dywizji SS do pomocy.

Oficer dyżurny odesłał wszystkich więźniów, prócz Himmlera. Kazał mu dać szorty i koc na plecy, po czym znów przystąpił do przesłuchiwania go

Z początku Himmler zastrzegał się, że będzie odpowiadał na pytania jedynie przed samym marszałkiem, ale zmienił decyzję, dowiedziawszy się, że to będzie na razie niemożliwe.

Odpowiadał na pytania krótko, ale rzeczowo, przy czym jego ciągłą największą troską była sprawa posuwania się radzieckich wojsk w głąb Niemiec. Był przekonany, że wojna Anglosasów z Sowietami jest tylko kwestią dni. Uważał więc za swoją ostatnią i najlepszą misję na ziemi po-



wstrzymanie zalewu Niemiec przez „wschodnie wojska" przy pomocy Aliantów.

Jednak oficer brytyjski był bardziej zainteresowany w szczegółach, jakie mógłby uzyskać od szefa Gestapo co do dostojników Nazi i oficerów Gestapo, niż w szaleńczych planach nowego „wielkiego wodza" przyszłych Niemiec.

W czasie tego przesłuchiwania zjawił się jeden z asów Inteligence Service, powiadomiony o pojmaniu Himmlera. Znany był jako pułkownik Blimp.

— Ach, to pan jest Himmlerem! Do diaska! — zawołał, przyglądając się mu badawczo.

Himmler chciał coś powiedzieć, ale pułk. Blimp powstrzymał jego krasomówcze zapędy.

— Milcz, ty, parszywa świnio!

Blimp wydał rozkaz ponownego zrewidowania Himmlera. Himmler początkowo gwałtownie opierał się tej ponownej rewizji, której dokonywali dwaj sierżanci w sposób wcale nie łagodny pod okiem lekarza wojskowego, sprowadzonego przez pułkownika. Pod koniec przeglądu lekarz kazał Himmlerowi otworzyć usta. Jeniec usłuchał, lecz w momencie, kiedy lekarz wkładał mu palec do ust, Himmler nagle zwarł szczęki, tak, że lekarz ledwie miał czas wyjąć swój palec. Himmler szybko zacisnął zęby i połknął ślinę.

Dziwny grymas pojawił się na jego ustach, a w chwilę potem Himmler leżał na podłodze w drgawkach agonii.

Anglicy przyskoczyli do niego. Pod kierunkiem lekarza zwieszono głowę konającego w dół, przy czym lekarz próbował silnym uściskiem zablokować przełyk. Przepłukano mu gardło, dano do połknięcia środek na wymioty, słowem zrobiono wszystko, co było w tych warunkach możliwe, by zachować przy życiu zbrodniczego szefa Gestapo. Nic nie pomogło. Dokładnie w dwanaście minut potem Himmler nie żył.

Ampułka cjanku potasu, który go zabił, była przytwierdzona do dziurawego zęba mądrości. Himmler mógł w każdej chwili rozbić ją i połknąć truciznę, cofając szczękę. To właśnie uczynił. Wszystkie wysiłki angielskiego lekarza mogły tylko przedłużyć agonię, ale nie mogły zachować go przy życiu, by potem zawisł na szubienicy.

Następnego dnia ciało tego największego kata wszystkich czasów zwalono do rowu w jednym z lasów północnych Niemiec. Miejsce to wiadome jest tylko uczestnikom tego niesławnego pogrzebu.

M.D.

KĄCIK JĘZYKOWY

KONKURS Z NR. 48 (72) „TYGODNIA"

Było to dnia 30 listopada r. ub., ogłosiliśmy konkurs na znajomość stylu pisarzów polskich. Podaliśmy cztery nieduże wyjmki (A, B, C, D) z powieści „Cham" Orzeszkowej, z „Lalki" Bolesławą Prusa, z „Krzyżaków" Sienkiewicza i „Popiołów" Żeromskiego. Zaznaczyliśmy, że termin nadsyłania od powiedzi upływa z dniem 15 grud nia, rozstrzygnięcie zaś konkursu nastąpi na Gwiazdkę.

Chcieliśmy czytelnikom naszym złożyć skromne upominki z tysiąca złotych (pierwsza nagroda), dwóch książek (2 i 3-cia nagroda), i dwóch prenumerat kwartalnych (4 i 5-ta nagroda). Nie z naszej winy dopiero teraz konkurs możemy rozstrzygnąć.

Czekaliśmy cierpliwie. Odpowiedzi nadchodziły powoli i, niestety, przeważnie błędne. Mylono „Popioły" z „Syzyfowymi pracami", Reymonta z Żeromskim. Rodziewiczówną z Orzeszkową. Kraszewskiego z Sienkiewiczem. Rozumiemy, że konkurs nie był łatwy: wyjmki były krótkie; trudno z nich odgadnąć autora; trzeba być dobrze oczytanym w literaturze. Ale z drugiej strony były one bardzo charakterystyczne dla stylu danego pisarza. Ponadto, udzieliliśmy też wskazówki, żeśmy nadmienili, iż są to autorzy końca XIX w. i początków w. XX oraz że wszystkie cztery książki wyszły obecnie w nowych wydaniach.

Jakkolwiek bądź, dwie tylko od powiedzi były całkowicie poprawne, zaopatrzone w komentarze, dowodzące dobrego oczytania w dziełach czterech wybranych przez nas pisarzów. Wobec powyższego uznaliśmy, że pierwszą nagrodę trzeba podzielić na dwie równe części. Toteż po 500 złotych otrzymują:

1. **Stanisława Pietrzykowa**, — Oświęcim, ul. Wł. Jagiełły Nr. 16 m. 3.

2. **Sefan Bereza**, Warszawa, ul. Leszno Nr 73 m. 15. Reszta nagród nie może być przyznana. Robimy wyjątek dla **p. Ireny Kaczmarskiej** (Sandomierz, ul. Katedralna Nr. 11). Wprawdzie p. Kaczmarska rozwiązała tylko trzy pierwsze wyjmki — z Żeromskim nie umiała sobie poradzić — ale, po pierwsze: p. Kaczmarska jest uczennicą IV kl. gimn., po drugie, omówiła trzy znane sobie wyjątki tak rzeczowo, obszernie i starannie, z takim, powiedzielibyśmy, uczuciem i zapałem, że gdyby rozwiązała i czwarty, mogłaby świecić przykładem znajomości literatury ojczystej wszystkim uczniom gimnazjalnym w całej Polsce. P. Irena Kaczmarska otrzymuje tedy piękną książkę wraz z serdecznymi uściśnieniami całej redakcji „Tygodnia".

Bakałarz

Nowe książki

A. J. Cronin — Zielone lata. — Ostatnia powieść Cronina jest nową, doskonałą pozycją tego angielskiego pisarza, który swoimi dziełami „Cytadela" i „Gwiazdy patrzą na nas" zdobył w Polsce niezwykłe uznanie. Wydawnictwo Awir, str. 292.

Wojciech Żukrowski — Piórkiem Flaminga, czyli opowiadania przewrotne. Ilustracje Uniechowskiego. Wydawnictwo Awir, str. 206.

Remigiusz Kwiatkowski — Parasol noś i przy pogodzie. Jest to zbiór przekładów aforyzmów wschodnich. Warszawska Spółka Wydawnicza „Syrena", str. 126.

A. J. Cronin. — Klucze królestwa. W roku 1937 osiągnął Cronin rozgłos światowy dzięki swej książce „Cytadela", w której dr Manson czynił wysiłki, by ratować życie ludzkie. W „Kluczach królestwa" ojciec Chisholm ratuje dusze i stara się życiu ludzkie mu nadać wyższą wartość. Książka jest niezwykle ciekawa i trzyma stale czytelnika w napięciu, dzięki niezwykłej akcji, pełnej dramatycznych akcentów. Wydawnictwo Awir, str. 363.

W. Niemczyński. — Elektrotechnika dla wszystkich. Książka daje popularny wykład z zakresu elektrotechniki i jest przeznaczona dla początkujących techników i nawet dla tzw. „laików". Wydawnictwo Wojskowego Instytutu Naukowo - Wydawniczego, str. 292, rys. 326.

Rex Warner. — Lotnisko. Powieść Warnera jest jego pierwszą książka przetłumaczoną na język polski, a trzecią w dorobku literackim autora. Książka ta niewątpliwie wywoła duże zainteresowanie. Wydawnictwo A - wir, str. 217.

Gustaw Morcinek. — Zagubione klucze. Powieść. Są to dzieje ludzi, którzy zagubili się w świecie. Dzieje ludzi powojennych, którzy na obcej ziemi usiłują wyjść z tragicznego impasu, w jakim znaleźli się po latach wojenne go piekła. Wydawnictwo Awir, str. 259.

Tadeusz Mayzner. — Chopin. W roku przyszłym cały świat muzyczny, a w szczególności polski, obchodzić bę dzie setną rocznicę zgonu Chopina. Już dziś jednak ukazują się nowe publikacje poświęcone Chopinowi. Jedną z tych jest książka Mayznera, jest to popularnie napisany życiorys znakomitego mistrza tonów. Wydawnictwo Instytutu Fryderyka Chopina. str. 75.

Somerset Maugham. — Ostrze brzytwy. Powieść psychologiczna, z barwną fabułą, odznaczającą się trafnością obserwacji. Wydawnictwo Awir, str. 335.

JASIEWO — WIEŚ, KTÓREJ DOTYCHCZAS NIE BYŁO

Po poprzednim deszczowym dniu, niespodziewanie „chwycił" mróz kilkustopniowy, powodując oblodzenie doskonałej zresztą szosy. Dzięki temu jechaliśmy z szybkością najwyżej 30 km. i można było dokładnie oglądać mijaną okolicę, urozmaiconą pagórkami i dolinkami.

Tegoroczna lekka i „ciepła" zima spowodowała niespodziewany o tej porze bujny rozrost ozimin, które czarują oko soczystością zieleni.

— Nie daj Boże — mówi nasz szofer — żeby na te śliczne oziminy przyszedł teraz mróz — chyba żeby tak zaraz śnieg spadł. Bo inaczej — to, panie, klęska.

Nie minęło parę minut — jak zrazu powoli, później co raz gęściejszymi i większymi płatkami, zaczął padać śnieg. Po prostu czary. Mijamy kilka wsi o nieco dziwnych nazwach, aż wreszcie po lewej stronie szosy ukazują się zabudowania folwarczne, niektóre, całe, inne częściowo rozebrane i również częściowo tylko ogrodzone grubym murem z czerwonych cegieł. Za murem od strony szosy — czworaki w opłakanym stanie. Z kominów unoszą się cienkie smugi dymu.

Po drugiej stronie szosy natomiast widać kilka nowych domów — jednakowej wielkości, jeszcze nie zupełnie wykończonych. Domy są z czerwonej cegły — uzyskanej z rozbiórki niektórych budynków folwarcznych, zbytecznych dla pozostałego ośrodka.

Są one początkiem nowej wsi, jaka dzięki parcelacji powstaje na miejscu dawnego 300-hektarowego majątku niemieckiego. Przed wojną właściciel Niemiec, musiał pewną, niewielką zresztą część rozparcelować, obecnie cały majątek rozdzielono między dawną służbę folwarczną oraz nowych osadników. Pozostała tylko resztówka z brzydkim, szarym, murowanym budynkiem.

Nowe domy dzielą się na tzw. część mieszkalną — to znaczy dwie spore izby i kuchnię oraz część gospodarczą — czyli oborę, stajnię i chlew (w jednym pomieszczeniu). Mieszkania są jeszcze niewykończone i dopiero w lecie będzie można w nich zamieszkać, natomiast inwentarz żywy ma już w nich swój „przydział" i odpowiednie „zagęszczenie" w zależności od zamożności gospodarza.

Oczywiście jest to kombinacja prowizoryczna. Z czasem zostaną wybudowane osobne domy mieszkalne, a obecne zostaną tylko dla inwentarza i potrzeby gospodarza.

W pierwszym, najbliższym domu, gospodarujemy sami, ale nie zwraca to niczyjej uwagi, a gospodarz jest nieobecny. W stajni zaniepokojone naszym wejściem odwracają łby dwa doskonałe konie (z transportu duńskiego). Ale widocznie nie widziały w nas nic godnego uwagi, bo wróciły do przerwanego spokojnego jedzenia siana. Dopiero na zaproszenie pozowania do fotografii odwróciły ponownie głowy, patrząc ciekawie i z życzliwą obojętnością.

W niedużym tym pomieszczeniu „odkryliśmy" jeszcze 3 krowy, 1 jałówkę, 1 owcę, 10 małych prosiąt i 3 lochy. Towarzystwo to najwidoczniej było doskonale ze sobą zżyte.

Trochę nieufnie odnieśli się do nas właściciele nowych gospodarstw, chociaż zaraz zaproszono nas do mieszkania. Do tego niesympatycznego domu, dawnych niemieckich właścicieli, zajętego chwilowo przez parcelantów, do czasu ukończenia mieszkań w ich domach.

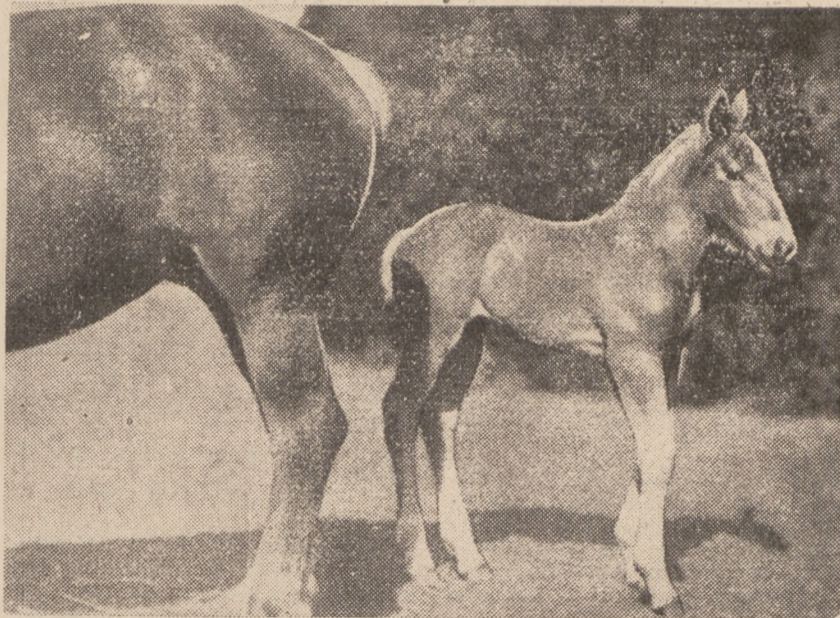
Przyszło kilku gospodarzy, młodych i starych, bo to rzadka okazja oglądać „ludzi z tylego świata". Pytamy czy im tu dobrze? Czy zadowoleni? Jakie mają kłopoty i trudności? Jakie plany?

Starszy gospodarz — nazwiskiem Goryl — przedwojenny parcelant — mówi powoli i z namysłem, nie zapalając się bez względu na to czy mówi o dobrym czy o złym. Natomiast młody, sympatyczny — Ruson — bierze wszystko impulsywnie i opowiada z zapałem.

— Biada z końmi, bo mało jeszcze i nie wszyscy mają, chociaż pomagamy sobie. I wiecie, u nas ani jeden kawałek nie leży odłogiem.

Oczy mu się śmieją — zapala się coraz bardziej i już nikogo nie dopuszcza do głosu. Opowiada chętnie i szczerze i od czasu do czasu przerywa na chwilę — wodzi oczami po zebranych i pyta: „no nie?"

— Ani bata nie miał — można rzec — jak zaczynał, ino graca i widły, ale dziś z własnej pracy, ma już i krowy i konie i parę świnek. Ziemia jest urodzajna, pszenno-buraczana — tylko, aby więcej koni było.



Koń jest zaczątkiem gospodarstwa

Najbliższe plany — to elektryfikacja Jasiewa, założenie sadów no i dokończenie budowy domów.

* * *

Dużą pomoc w zagospodarowaniu się „na swoim" okazała gospodarzom Gminna Spółdzielnia Zw. Samopomocy Chłopskiej w Grucie. Pomijając już to, że mogą się wszyscy zaopatrywać w niezbędne artykuły bądź w sklepach spożywczych, bądź w tekstylnych — najważniejszą pomoc otrzymali oni w zbożu na zasiew. Mają też specjalny rabat w młynie Spółdzielczym w Słupie.

Kierownik Spółdzielni ob. Nowak jest już 35 lat spółdzielcą, a przede wszystkim zna doskonale bolączki gospodarskie. Jemu to, jego energicznej pracy zawdzięcza spółdzielnia swój rozwój.

Z dumą pokazuje nam wykresy, zestawienia obrazujące cyfrowo dorobek tej niedługiej jeszcze, ale pełnej przeciwności i trudu — pracy. W magazynie zbożowym, który do niedawna był zapełniony zbożem z daniny podatkowej — obecnie zostało ponad 60 ton jarego.

— Gdyby nam to pozwolono zostawić na zasiew wiosenny dla naszej gminy — wzdycha pobożnie p. Nowak. Obdzielilibyśmy wszystkich i obsialibyśmy wszystkie pola.

Gospodarze parcelanci natomiast marzą o tym, żeby tańsze były buty, bo tak to trzeba przynajmniej 21-go morga wymłócić, żeby je kupić. Jeżeli rodzina jest większa, to już jest tragedia. Przede wszystkim jednak ze słów tych ludzi bije ogromny zapał i szczere umiłowanie roli.

Mimo gorących namów p. Nowaka nie mamy czasu na zwiedzenie młyna w Słupie, całkowicie własnym kosztem spółdzielców odbudowanego z ruiny.

Obiecujemy to zrobić na wiosnę, kiedy zazielenią się wspaniałe 700-letnie historyczne dęby, pod którymi ponoć obiadował Napoleon.

Danuta Hulinkowa

Roman Niziński

DWA ŹRÓDŁA

Polska delegacja rządowa, która wróciła z Moskwy, przywiozła z sobą nową umowę towarową, tym razem długoterminową, zamykającą się globalną sumą jednego miliarda dolarów po obu stronach. Daje to przeciętną roczną sumę stu milionów dolarów na każdą stronę.

Drugim osiągnięciem było uzyskanie średnioterminowego kredytu w wysokości 450 milionów dolarów na pokrycie dostaw przemysłowo-instalacyjnych. Zaś trzecim uzyskanie dodatkowych dostaw zboża konsumcyjnego w ilości 200.000 ton.

Jest to plon bardzo poważny, który w istniejącej sytuacji międzynarodowej posiada nie tylko znaczenie gospodarcze, ale i polityczne. I kto wie, czy ten polityczny aspekt osiągnięcia, nie umniejszając niczego z jego znaczenia gospodarczego, nie jest w dzisiejszych warunkach ważniejszym.

Jesteśmy w tej chwili świadkami prób organizowania świata, szczególnie Europy zachodniej na zasadach pewnej hegemonii czynnika amerykańskiego: Doktryna Trumana, plan Marshalla, plan Bevina „konsolidacja zachodniej Europy" pod wysokim patronatem Stanów Zjednoczonych stanowią poszczególne etapy tej nowej próby organizacji w skali między narodowej.

Doktryna Trumana ma oblicze wyraźnie polityczne. Ale plan Marshalla przedstawiony został światu, jako dążenie do gospodarczego odrodzenia Europy przy pomocy amerykańskiej. Tymczasem szczegóły, jakie ujawniane są w miarę, jak rozwija się w Kongresie dyskusja nad planem wskazują, że mimo rzekomo gospodarczych założeń planu, jego jądro ma charakter wybitnie polityczny i plan Marshalla ma stanowić narzędzie owej hegemonii politycznej Stanów Zjednoczonych na kontynencie amerykańskim.

Wreszcie przedstawiony ostatnio plan Bevina „konsolidacji zachodniej Europy" stwarzający również pewne wrażenie organizacji na zasadach ekonomicznych, czyni z Wielkiej Brytanii eksponenta politycznego ekspansjonizmu amerykańskiego.

Z ostatniej wojny tylko dwa mocarstwa wyszły w roli prawdziwych zwycięzców: Stany Zjednoczone i ZSRR. Zarówno doktryna Trumana, jak i plan Marshalla, jak wreszcie udział Stanów Zjednoczonych we wszystkich własnych, czy międzynarodowych akcjach pomocy wskazywały, że Stany Zjednoczone stały się po wojnie jedynym poważnym dysponentem finansowym i gospodarczym świata. Przyczyną tego zjawiska stały się źródła finansowe i produkcyjne Ameryki, które mogła oddać do dyspozycji reszty świata. Dolar stał się obiegową walutą całego świata i stał się najbardziej poszukiwanym pieniądzem. Państwo, dysponujące pewnym zasobem dolarów mogło się uważać za gospodarczo silne, w przeciwieństwie do państw, cierpiących na niedostatek i głód dolara.

Fakt ten nie jest bynajmniej zjawiskiem oderwanym, lecz pozostaje w ścisłym związku z ogólną gospodarczą i polityczną sytuacją międzynarodową, stając się instrumentem nacisku politycznego i drogą, prowadzącą wprost do narzucenia niektórym narodom hegemonii gospodarczej i politycznej Stanów Zjednoczonych. W ten właśnie sposób plan Marshalla, obwarowany różnymi warunkami natury nie tylko gospodarczej, ale i politycznej stanie się czynnikiem, który nakłada na poszczególne kraje, korzystające z pomocy amerykańskiej pewne więzy gospodarcze i prowadzi je do częściowej rezygnacji z ich praw suwerennych zarówno w zakresie gospodarczym, jak i politycznym.

Polska nie przystąpiła do planu Marshalla, przewidując czające się poza nim niebezpieczeństwo. Rząd polski postanowił przeprowadzić odbudowę kraju w tempie może wolniejszym przy użyciu własnych jedynie środków i zasobów, ale za to bez zaciągania jakichkolwiek zobowiązań politycznych, nie mówiąc o ograniczeniach suwerenności gospodarczej Polski.

W tym stanie rzeczy delegacja Rządu R.P. wyjechała do Moskwy i uzyskała tam to, czego nie mogłaby w tak poważnych rozmiarach uzyskać w Ameryce. Niezależnie od podniesienia wzajemnych obrotów handlowych obu kontrahentów, Polska uzyskała kredyt blisko pół miliarda dolarów na zakup w ZSRR urządzeń przemysłowych.

I ten fakt właśnie jest najbardziej zastanawiający, jest zadziwiający. Wskazuje on bowiem, że Stany Zjednoczone przestały być jedynym dysponentem finansowo-gospodarczym świata; że obok nich wyrósł z dnia na dzień dysponent drugi. Role się wyrównują. Dwóch było głównych zwycięzców w ostatniej wojnie i dwóch jest dysponentów finansowo-gospodarczych po wojnie.

Gdy stało się widoczne, że jeszcze przed realizacją planu Marshalla Francji grozi katastrofa gospodarcza, Kongres amerykański uchwalił na wniosek rządu plan doraźnej pomocy dla Francji, Włoch i Austrii w wysokości niespełna miliarda dolarów, z którego Francja nie otrzymała nawet ćwierć miliarda. Polska, dzięki własnemu wysiłkowi nie znajduje się w tak trudnej sytuacji w jakiej znalazła się Francja, ale w dążeniu do jak najszybszego odrodzenia gospodarczego dążyła do uzyskania kredytów inwestycyjnych i uzyskała z trudem i po wielu perypetiach od Ameryki pożyczkę 90 milionów dolarów. W Moskwie natomiast uzyskała na ten cel blisko pół miliarda dolarów, czyli dwakroć więcej, aniżeli Francja od swego amerykańskiego dysponenta. Przy tym kredyt nasz w Moskwie nie został obwarowany żadnymi warunkami natury politycznej, lecz uzyskany został na uzualnych warunkach między dłużnikiem, a wierzycielem.

Drugi fakt, który uderza w tym samym aspekcie, to możliwość dostarczenia przez ZSRR Polsce urządzeń przemysłowych na tak ogromną sumę. Świadczy to o odrodzeniu i stałym wielkim rozwoju przemysłu radzieckiego, co podkreśla jeszcze jego rolę drugiego wielkiego dysponenta gospodarczego w skali światowej. W dalszej perspektywie stanowi to o degradacji Stanów Zjednoczonych z ich dotychczasowego stanowiska **jedynego** dysponenta.

Copyright by J. Meissner

JANUSZ MEISSNER
OPERACJA

Dr. Leonowi Bocheńskiemu, dyrektorowi Szpitala Miejskiego w Zakopanem poświęcam.

Siostrę Eustachię odwołano w jakiejś sprawie na górę, więc Maria sama skończyła segregować i układać narzędzia w oszklonej szafie. Potem odstąpiwszy krok w tył, przyjrzała się swemu dziełu. Błyszczące niklem rzędy kocherów, imadła, igły, skalpele, nożyce. Niżej — szpule i słoje z catgutem. Wreszcie — haki, dłuta i młotki.

Na tle tego wszystkiego — odbicie jej własnej twarzy i rudych, wijących się włosów, które w świetle lampy zdawały się płonąć złotą aureolą.

Przyjrzała się krytycznie temu odbiciu.

— Właściwie nie ma wielu powodów do niezadowolenia — pomyślała. — Zwłaszcza gdy nie widać tych nieznośnych piegów na nosie... I mogłabym być troszeczkę wyższa.

Odwróciła się bokiem, patrząc przez ramię.

— W takiej szybie zawsze wygląda się trochę korzystniej niż w lustrze. Ale ostatecznie...

Wiedziała, że jest ładna. Mówiono jej to nieraz. Jej uroda zwracała uwagę nie tylko pacjentów kliniki i nie tylko kolegów uniwersyteckich. Na ulicy, w kawiarni, w autobusie i w tramwaju Maria przyciągała ciekawe spojrzenia mężczyzn i zazdrosne — kobiet. Często ktoś oglądał się za nią. Siostra Felicja powtarzała jej codziennie na powitanie, że wygląda „jak rozkwitająca róża", surowa, poważna siostra „Eustachia" uśmiechała się do niej, rozkładając instrumenty do operacji, felczer, pan Wincenty wzdychał ilekroć ją zobaczył. Nawet profesor Russer wyróżniał ją na swój sposób, kładąc jej dłoń na ramieniu, gdy pytał o któregoś z chorych lub wydawał polecenie w czasie porannej wizyty na salach i separatkach. (Nie lubiła zresztą tych jego poufałych gestów i spojrzeń, które im towarzyszyły).

Tylko jeden człowiek w klinice nie zwracał na nią szczególnej uwagi. Ten właśnie, którym sama interesowała się najbardziej. Ten, dla którego miała zawsze gotowy uśmiech i którego zaczepne spojrzenia zapewne odwzajemniłaby bez niechęci. Ale nie rzucał jej zaczepnych spojrzeń i nie czynił żadnych „poufałych gestów". Co najwyżej żartował czasem z jej adoratorów i z niej samej, jak dobry znajomy rodziny lub dużo starszy kolega może żartować z podlotka.

Traktuje mnie jakbym była pensjonarką — zżymała się nieraz. — Co on sobie myśli!

I zapewniała się w duchu, że wcale go nie lubi; że doktór Grudzień jest bądź zarozumiałym dziwakiem, bądź nieśmiałym odludkiem, bądź wreszcie — zakochanym bez wzajemności kandydatem na starego kawalera. Ale już po chwili zmieniała zdanie: Grudzień cieszył się w klinice nie tylko szacunkiem i zaufaniem, ale równie wielką sympatią, jak Maria. Może tylko niekiedy doktór Ochocki okazywał mu niechęć, której źródłem była zawiść na tle zawodowym. Może również profesor Russer obawiał się niezwykłych zdolności i szczęścia doktora Grudnia, które mogły z czasem przyćmić jego własną sławę.

Grudzień zdawał się tego nie dostrzegać. W stosunkach z ludźmi był zrównoważony, wyrozumiały, pogodny. Przy pracy — skupiony, wymagający, lecz opanowany i pewny siebie.

Jego uprzejmość dla sióstr — pielęgniarek i niższego personelu kliniki zjednała mu powszechną przychylność. Jego pogoda, pewność ręki i pomyślne wyniki zabiegów chirurgicznych — zaufanie pacjentów. Może fakt, że jego stosunek do Marii zdawał się być pozbawiony sentymentalno - erotycznego wątku, przez sam kontrast z postępowaniem innych mężczyzn stał się pierwszą przyczyną jej uczucia, które budziło się stopniowo w ciągu kilku miesięcy i teraz znacznie przerastało tę skalę sympatii, do jakiej skłonna była przyznać się sama przed sobą. W każdym razie chciała mu się podobać; zależało jej na nim — oto co w tej sprawie myślała.

Ilustrował Wacław Siemiątkowski

Dlatego z taką uwagą przeglądała się w szybie oszklonej szafy z narzędziami, zanim — wziąwszy jeszcze ze stolika skórzany portfel i legitymację — wyszła z sali operacyjnej na korytarz i zapukała do gabinetu przyjęć.

— Proszę — odezwał się męski głos.

Otworzyła drzwi i weszła. Doktór Grudzień siedział przy biurku i pisał.



Chciała mu się podobać, zależało jej na nim.

Zwrócony był do niej bokiem i jego energiczny profil, oświetlony przez stojącą lampę, rysował się wyraźnie na tle ciemnej kotary okna.

Wydał się jej jakiś przygnębiony, smutny, inny niż zwykle. Może był bardzo zmęczony? Może miał jakieś troski, które ukrywał gdy otaczali go ludzie, a które teraz rzuciły się na niego w samotności. — Może cierpiał? Może nie miał nikogo bliskiego, kto mógłby mu dopomóc, podtrzymać go, użalić się nad nim?

Maria czuła, że pulsy w jej skroniach uderzają żywiej. Miała ochotę podejść cicho z tyłu i zakryć mu dłońmi oczy.

— Coby wtedy zrobił? Może by mnie pocałował...

Zrobiło się jej gorąco.

— O jej, jaka ja głupia jestem — pomyślała.

— Panie doktorze — powiedziała siląc się na spokój.

Dopiero teraz odwrócił głowę i spojrzał na nią.

— A, to pani. Proszę, niech pani siada. O co chodzi?

Patrzył jej prosto w oczy, uważnie, jakby ją badał. Po chwili przez usta przewinął mu się lekki uśmiech.

Jej zaś nagle zabrakło tchu... Nie mogła wydobyć tych zwykłych słów, które miała wypowiedzieć i nie mogła uwolnić wzroku od jego spojrzenia.

— Jestem głupia, głupia gęś! — powtarzała sobie.

Przemogła się wreszcie i zapytała, czy profesor Russer już wyszedł.

Grudzień znów się uśmiechnął.

— Wyszedł — powiedział. — Bo co?

Podała mu przyniesiony portfel.

— Zapomniał wziąć to z sobą. I dowód osobisty. Leżały na stole przy umywalni, obok operacyjnej.

Wziął z jej ręki portfel i wrzucił do szuflady biurka.

— Ma pani dyżur dzisiaj? — zapytał.

— Tak. Jak zwykle z panem. Ale profesor...

— Właśnie; wyszedł o tej porze! Czy to nie nadzwyczajne? — Spojrzała na niego zdziwiona ironicznym tonem, jakim wypowiedział te słowa.

— Naprawdę coś mu jest — pomyślała.

— Pan nie lubi profesora, prawda? — zapytała cicho.

Spojrzał na nią uważnie.

— A pani?

— Oh — ja? Ja lubię te dyżury... z panem.

Nie roześmiał się. Przeciwnie; spoważniał jakby na chwilę.

— Doprawdy? — spytał.

— Doprawdy — rzekła z naciskiem. Chociaż się pan ze mnie śmieje. Wszyscy pana lubimy.

Znów jakiś cień przewinął mu się po twarzy, ale pokrył go uśmiechem.

— Niechże mi pani nie mówi komplementów, panno Mario.

— O, to nie są komplementy, panie doktorze — zaprzeczyła żywo. Koledzy z chirurgii mówią o panu, jak o cudotwórcy! Przecież pan musiał zauważyć ilu tu bywa, kiedy pan operuje. Nie dalej jak wczoraj przy tej operacji zrostów jelit — pamięta pan?

— Przesadza pani — przerwał jej łagodnie. — Ja tylko...

Ale nie pozwoliła mu skończyć.

— Nikt inny nie odważyłby się na takie cięcia i nikt nie zrobiłby tego w ciągu dwudziestu minut. Nikt, nawet profesor Russer!

— Nawet profesor Russer... — powtórzył wolno.

— A ja myślę... — zawahała się i umilkła.

— No — no? — ożywił się znowu.

— Ja chciałabym... Więc powiem panu: chciałabym, żeby pan został dyrektorem naszej kliniki. Żeby pan był sławny. Sławniejszy od Russera i od wszystkich profesorów!

— Bagatela! — powiedział szczerze ubawiony.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Odwrócił się ku niej. Coś błysnęło mu w oczach, jakby gniew.

— Moje operacje!... — powiedział gorzko. — I cóż ja operuję? Te zrosty, o których pani mówi, to był drugi, czy trzeci poważniejszy wypadek w tym roku. Wszystko, co przynosi sławę, co stanowi o rozgłosie, Russer zachowuje dla siebie. Jest zazdrosny i nieufny. Nie znosi nikogo obok siebie, kto mógłby mu dorównać. Jeśli już powierza mi jakąś poważną robotę, to zawsze wtedy, gdy sam uważa sprawę za beznadziejną. Jeśli chory ma umrzeć — niech umiera po moim zabiegu. On operuje ludzi znanych, na stanowiskach, bogatych, ja — biedaków z Ubezpieczalni...

Machnął ręką i usiadł, przysuwając ku niej swój fotel.

— Czy pani wie, co mi powiedział wychodząc? Żeby go wezwać telefonicznie w razie jakiejkolwiek nieprzewidzianej operacji. **Jakiejkolwiek!**

Skinęła głową. Tak, profesor Russer był już taki: chciał wszystko robić sam. Chciał wiedzieć o wszystkim, co działo się w klinice, aż do błahych drobiazgów administracyjnych, i o wszystkim sam decydować. Był nieufny, podejrzliwy, apodyktyczny.

W stosunku do Grudnia prowadził — jak mu się zapewne wydawało — chytrą politykę: gdy widział, że jego pierwszy asystent zaczyna buntować się i po raz któryś z rzędu zamierza go opuścić, pozwalał mu na wykonanie poważnego, często ryzykownego zabiegu, po czym zasypywał go pochwałami i gratulacjami. Jeśli jednak operował sam, zawsze brał pod uwagę diagnozę Grudnia, ponieważ wierzył w jego intuicję i przekonał się, że ten człowiek nigdy się nie myli.

Obawiał się, że bez jego pomocy mógłby nieraz popełnić fatalny błąd, ponieważ sam nie był dobrym diagnostą. Obawiał się także, iż Grudzień — porzuciwszy pracę w klinice — dzięki swym niezwykłym zdolnościom zdobędzie jakieś wybitne stanowisko i zaćmi jego własną sławę. Dlatego chciał zatrzymać go przy sobie, tak długo, jak tylko się da. Dlatego mu schlebiał, a w skrytości ducha oczekiwał, że przecież i Grudzień kiedyś się potknie; że prędzej czy później odważy się na operację zbyt ryzykowną i przegra. Wówczas profesor miałby go w ręku. Wówczas nie musiałby już ulegać wybuchom jego ambicji, zachowując wyłącznie dla siebie całą jego wiedzę, umiejętność i talent.

Z doktorem Ochockim profesor miał mniej kłopotów. Po pierwsze Ochocki był dużo starszy, był już w tym wieku, kiedy trudno jest się wybić, jeśli dotąd nie zrobiło się „wielkiej kariery". Po wtóre — jakkolwiek Ochocki uważał się za lepszego chirurga niż Grudzień — to przecież nie przyszłoby mu do głowy równać się z Russerem. Jego ambicje nie sięgały poza stanowisko pierwszego asystenta w klinice. Był ostrożny i cenił spokój. Czekał cierpliwie na to właśnie, co niepokoiło profesora na jakiś wybuch Grudnia, który usunąłby go z drogi. Postanowił go przetrzymać, a tymczasem, aczkolwiek niechętnie, tolerował jego istnienie.

Grudzień nie zdawał sobie sprawy z przyczyn, które składały się na niechęć Ochockiego i nie próbował analizować pobudek kierujących „polityką" Russera. Pojmując zawód lekarza najbardziej idealnie, własną karierę podporządkowywał celom, które ten zawód przed nim stawiał. Jeśli myślał o wybiciu się, o zajęciu wyższego stanowiska, o sławie, to dla tego, że czuł, iż mógłby im podołać. Jego ambicję stanowiła praca samo-

dzielna; sztuka coraz doskonalsza; walka o życie ludzkie, w której mógłby rozwinąć cały zasób swych zdolności.

Gdy przed dwoma laty został asystentem profesora Russera, przypuszczał, że właśnie na tę drogę wchodzi. Teraz zaczynał w to wątpić i buntował się przeciw roli, jaką mu chciał wyznaczyć jego zwierzchnik.

Nie dzielił się z nikim tymi swoimi myślami. Właściwie nie znał nikogo, komu potrafiłby się z nich zwierzyć. Nie miał bliskich przyjaciół, a z rodziną utrzymywał dość luźny kontakt. Ta samotność nie ciążyła mu dotąd bynajmniej. Dopiero teraz spostrzegł, że mimo sympatii, jaką mu zewsząd okazywano, otacza go pustka. Tylko ta dziewczyna zdawała się interesować jego losem i tym, co się z nim stanie.

Był tego dnia w takim nastroju, że poczuł dla niej wdzięczność, choć zapewne w innych okolicznościach nie przyszło by mu do głowy mówić z nią o tym inaczej niż żartem.

Lubił ją, to prawda. Często patrzył na nią z przyjemnością, stwierdzając, że jest świeża i ładna. Ale nigdy nie doznawał tego, co nazwałby potrzebą jej obecności: gdyby któregoś dnia przestała pracować i przychodzić na dyżury, zapewne nie wiele by go to obeszło.

— Dokąd właściwie profesor poszedł? — zapytała. — Tak rzadko się to zdarza...

— Przywitać Vorbecka — odrzekł zamyślony.

Spojrzała na niego zdumiona, nie rozumiejąc o czym mówi.

— Profesor poszedł do klubu, a potem będzie na przyjęciu powitalnym dla senatora Vorbecka — wyjaśnił.— Nie czytała pani w gazetach o tej wizycie dyplomatycznej?

— Czytałam, ale co profesor Russer ma z tym wspólnego?

— Bardzo wiele — powiedział, sięgając po papierośnicę. — Od tego zaczęła się jego sława.

— Od czego się zaczęła?

Zapalił papierosa i spotkawszy jej pytające spojrzenie, uśmiechnął się znowu.

— Jak wiele sław — od przypadkowego zbiegu okoliczności — odrzekł. Vorbeck był wtedy w Polsce doradcą finansowym rządu, Russer zaś — zwykłym chirurgiem w klinice uniwersyteckiej. Zdarzyło się, że senator zachorował w nocy na ostry apendix. Przywieźli go do kliniki. Russer miał dyżur i zdecydował się operować natychmiast. Wszystko poszło dobrze, bez komplikacji. Operacja była prosta i łatwa, ale trąbiły o tym wszystkie gazety i rozgłos przylgnął do jego nazwiska. Senator Vorbeck miał wielkie wpływy. Popierał Russera i wkrótce wyrobił mu nie tylko katedrę, ale również bogatą klientelę. Prosefor jeździł za granicę i — również za sprawą Vorbecka — miewał tam wykłady; brał udział w kongresach i zjazdach, reprezentował polską naukę, zawierał cenne znajomości i tak dalej. Tymczasem Vorbeck gromadził swoje miliony i miliardy, pośrednicząc przy pożyczkach dla różnych państw i kierując polityką finansową swego rządu. Dziś znów przyjechał do Polski, a Russer — o ile mi wiadomo — otrzymał zaproszenie na powitalny raut, urządzany z tej okazji. Jest bogaty. Jest sławny. Jest profesorem — przez jeden wyrostek.

Maria słuchała z rozchylonymi ustami, patrząc na twarz doktora Grudnia. Była przejęta i poruszona tym wszystkim. Chciała mu powiedzieć, przekonać go i upewnić, że sam też zdobędzie sławę. Że ona wierzy w to niezłomnie. Że z całego serca mu tego życzy...

— Tak bym chciała, panie doktorze, żeby i pan... Żeby i panu...

Spojrzał na nią, jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. Niecierpliwie potrząsnął głową, ale opanował się i powracając do swego zwykłego tonu powiedział z lekko ironicznym uśmiechem:

— Niestety, panno Marysiu, senator Vorbeck nie ma drugiego wyrostka, a ja...

Przerwała mu marszcząc brwi:

— Pan zawsze sobie żartuje ze mnie. Ale ja i tak wiem, że pan będzie sławny, a wtedy...

— Wtedy rzekł, ujmując jej rękę — wtedy poproszę, żeby pani została moją asystentką.

Przy pierwszych jego słowach Maria zarumieniła się gwałtownie, ale gdy powiedział „asystentką" — nagle cofnęła rękę i zagryzła usta.

— Ach — tak? — szepnęła mimo woli.

Zdawał się nie dostrzegać tej gwałtownej zmiany. Bawił go jej naiwny zapał.

— No cóż — zgoda? zapytał wesoło.

— Jeżeli pan zechce... — powiedziała wolno, jakby zastanawiając się serio nad tą propozycją.

— Na pewno zechcę — oświadczył stanowczo. — Do tego czasu napiszę pani pracę doktorską, a po tej praktyce jaką pani ma tutaj, będzie pani miała doskonałe kwalifikacje na asystentkę sławnego chirurga.

— Zapewne — odrzekła chłodno. — Ale ja już pójdę. Ta chora spod trzydziestego drugiego znów ma podniesioną temperaturę i ciągle chce pić. Czy można dać jej herbaty?

Powiedział, że można, zdziwiony tym jej nagłym odwrotem.

Był rozdrażniony i zły na siebie: cała ta rozmowa nie miała sensu, a już to, co powiedział o Russerze, należało zachować wyłącznie dla własnej wiadomości.

— Diabli nadali — mruknął i sięgnął po rozpoczęty list, aby go wreszcie skończyć.

Adresował kopertę, gdy znów rozległo się pukanie.

— Wejść — powiedział głośno i spojrzał w stronę drzwi.

Była to znowu Maria. Zauważył od razu, że jest bardzo podniecona.

— Na górze coś się stało — pomyślał.

Błyskawicznie przebiegł w pamięci ważniejsze wypadki i operacje ostatnich dni. To nie mogło być nic poważnego.



Pan zawsze sobie żartuje ze mnie.

Maria podeszła do biurka i oparła się dłońmi o jego brzeg. Była zdyszana, jakby zbiegła pędem po schodach.

— Panie doktorze — powiedziała stłumionym głosem. — Senator Vorbeck... Był zamach na Vorbecka... Jest ranny... Telefonowali z dworca... Jakiś cudzoziemiec rzucił bombę, a potem strzelał.

Grudzień opanował natychmiast zdumienie i zaskoczenie tą wiadomością.

— Jaka rana? — zapytał rzeczowo.

— Postrzał w bok, zdaje się. Zaraz ich tu przywiozą.

— Ich? — powtórzył.

— Jest jeszcze jakiś człowiek z ciężką raną głowy. Ambasador pytał o profesora.

— I co pani powiedziała?

Zawahała się przez sekundę. Spojrzała mu w oczy.

— Powiedziałam, że profesor będzie zaraz gotów do operacji.

— Co? — zdziwił się. — Ach, prawda — przypomniał sobie — zostawił numer telefonu. Dzwoniła pani do klubu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie. Ale przecież pan jest tutaj.

— No więc co z tego? — zirytował się. — Że też pani od razu nie telefonowała!

Sięgnął po słuchawkę telefonu, ale Maria chwyciła go za rękę.

— Nie będzie pan przecież wzywał profesora?!

— Tylko co?

— Jest pan tego samego wzrostu, założę panu maskę zanim pan wejdzie do operacyjnej; doktór Ochocki i ja będziemy panu asystowali; nikt się nie zorientuje, że to pan, nie profesor. Pomogę panu w ubieraniu się. Niech pan już myje ręce. Przygotuję tymczasem wszystko w operacyjnej, zawołam siostrę Eustachię, a Wincenty wygotuje narzędzia. Co jeszcze trzeba przygotować poza tym?

Grudzień patrzył na nią oszołomiony tym potokiem słów.

— Czy pani oszalała?! — powiedział wreszcie. — Ja miałbym to zrobić?

— Musi pan to zrobić! Zaraz! Już! Przecież to jest okazja do wybicia się. Droga do sławy... Przecież tak właśnie zaczęła się kariera profesora!

— Myli się pani — odrzekł poważnie. — Russer operował ślepą kiszkę, ja musiałbym wyjąć kulę; musiałbym ją znaleźć. Nigdy nie wiadomo, jak się taka operacja skończy. Postrzał w bok... to może być głupstwo, ale może być również śmierć. I jeszcze jedno: Russer operował jako Russer; ja będę operował...

— Też jako Russer.

Zaśmiał się krótko.

— Pani ma poczucie humoru, ale to jest poważna sprawa. Jeżeli ranny umrze...

— Nie umrze — powiedziała z taką pewnością, że zawahał się przez chwilę. — Pan go uratuje. A jeżeli pan go nie zdoła uratować, to nie uratuje go nikt inny. Panie doktorze — złożyła błagalnie ręce — nie mamy czasu! Za chwilę tu przyjadą!

— Profesor też może tu być za chwilę — odparł.

— Profesor jest zapewne jeszcze w klubie, na drugim końcu miasta. Zanim tu przyjedzie, może być już po wszystkim...

Nie, panno Marysiu — powiedział stanowczo, usuwając ją delikatnie na bok i ujmując znów słuchawkę. — Nie mam prawa postąpić wbrew zarządzeniom profesora.

Nakręcał numer, starając się na nią nie patrzeć. Odwróciła się do niego plecami i opuściła głowę. Dosłyszał jej słowa, wypowiedziane z żalem, z pogardą, czy też gniewem:

— Myślałam, że pan jest odważniejszy...

W tej samej chwili zgłosił się gospodarz klubu. Profesora już tam nie było: wyszedł przed pół godziną.

— Jeżeli wróci, proszę go zawiadomić, że telefonowałem — powiedział doktór Grudzień. — Niech zaraz przyjedzie do kliniki. Tak. Dziękuję.

Maria ożywiła się.

— Nie ma go?

— Nie ma — odrzekł. — Jeżeli nie przyjedzie, naturalnie będę operował sam.

Prychnęła, jak rozgniewana kotka.

— Jeżeli ci dygnitarze zastaną tu pana zamiast profesora Russera, to poślą po innego sławnego chirurga, bo pan jest nie dość znany! Doktór Gołoński mieszka na sąsiedniej ulicy. Jest także profesor Halewicz. Może tu przyjechać w ciągu pięciu minut.

Zawahał się znowu, ale na myśl o maskaradzie, w której musiał by grać główną rolę, otrząsnął się z niesmakiem.

— To nie ma najmniejszego sensu. Nie będę się ośmieszał wobec Ochockiego i tamtych.

Odwróciła się i stanęła tuż przed nim, aż cofnął się nieco, zaskoczony.

— Pan nie będzie w tym brał czynnego udziału — powiedziała z naciskiem.

— To ja, tylko ja, bez pańskiej wiedzy, rozumie pan?

Potrząsnął tylko głową, ale czuł, że słabnie: pokusa była zbyt silna...

— Panie doktorze — zaczęła znów błagalnie Maria — przecież pan spełnił to, czego profesor od pana żądał. Czy pan sobie nie ufa? Czy pan myśli, że taki Gołoński i Halewicz są lepsi od pana? Niech pan nie przeszkadza własnemu losowi. Niech pan to zrobi!

Wtedy zdecydował się wreszcie.

— Więc dobrze — powiedział swoim zwykłym, energicznym głosem. Niech pani przygotuje Roentgena. Ochocki zrobi zdjęcie. Sterylizator. Instrumenty. I niech mi pani przyniesie płaszcz, rękawice, maskę na twarz i to zdjęcie, jak tylko będzie gotowe. No, ruszać się, panno Marysiu, ruszać się! — zawołał, widząc, że dziewczyna patrzy w niego jak urzeczona.

Myjąc ręce w umywalni odzielającej gabinet od sali operacyjnej, przez uchylone drzwi słyszał obce głosy i szczęk rozkładanych instrumentów. Potem — nosowy głos Ochockiego:

— Kula w kanale kręgowym. Rdzeń może być uszkodzony..

Maria powiedziała:

— Zaniosę profesorowi...

Plusk wody zagłuszał raz po raz słowa.

Ktoś pytał o profesora Russera, i — czy pan minister może być obecny przy operacji.

I znów głos Marii:

— Profesor już się ubiera. Zaraz tu przyjdzie.

Grudzień pomyślał:

— Ona ma tupet!

Spłukiwał ręce, gdy weszła i starannie zamknęła drzwi za sobą.

— Czy pani oszalała?! Kogo mi tam pani sprowadziła na to widowisko? — zapytał szorstko.

— To nie ja — odrzekła spokojnie. — Przyjechali z rannym.

— Ale kto?

— Jeden minister, jeden ambasador i dwaj wojskowi. Pozwoliłam im zostać pod warunkiem, że nie będą rozmawiać i ruszać się z miejsca.

— Pozwoliła im!... Nie, wie pani...

Tu są zdjęcia — przerwała mu, zbliżając kolejno jeszcze mokre klisze ku lampie.

Obejrzał jedną po drugiej. Pocisk tkwił w trzonie trzeciego kręgu lędźwiowego, stercząc do światła kanału kręgowego.

Laminectomis — mruknął.

Maria polała mu dłonie spirytusem.

— Doktór Ochocki przypuszcza, że rdzeń jest uszkodzony — powiedziała. Ranny jest nieprzytomny. Dostał zastrzyk morfiny i coraminy z glukozą.

— Dobrze. Niechno pani otworzy tę puszkę.

Ostrożnie wyjął z niklowego pudła maskę z gazy i zarzucił ją sobie na twarz i głowę.

— Te tasiemki są za luźne — powiedział.

Nie mogła dosięgnąć tak wysoko.

— Musi pan schylić głowę.

Pochylił się ku niej, otwierając szeroko ramiona, jakby ją chciał chwycić w objęcia. Poczuł ciepło jej twarzy, zapach włosów i dotknięcia palców. Doznał jak gdyby uczucia żalu, że to trwało tak krótko.

Potem rozłożył wyjałowiony kitel i wsunął ramiona w rękawy. Zapinała mu zatrzaski na plecach i poprawiała fałdy w pasie. Znów czuł dotknięcie jej rąk. Przeszedł go lekki dreszcz.

— Bardzo dobrze — mruknął, gdy skończyła.

Uświadomił sobie, że nigdy nie zauważył, czy Maria ma ładne ręce; może dlatego, że zwykle widywał je w rękawiczkach chirurgicznych.

(Dokończenie w następnym numerze).

ZIOŁA TO ZDROWIE

Róża dzika — środek moczopędny. Znajduje zastosowanie przy dolegliwościach pęcherza, skłonności do tworzenia się kamieni nerkowych. Herbatę przygotowuje się następująco: pełną łyżeczkę od herbaty owocoów na szklankę wody, gotować 20 do 30 minut i na kilka godzin odstawić pod przykryciem.

Tobolki Tasznika — działają ściągająco, moczopędnie i tamująco, oczyszczają krew. Napar sporządzony z 1 łyżki pełnej ziela na szklankę gotującej wody, wpływa także skutecznie na bóle brzucha.

Skrzyp — jest znanym środkiem na dolegliwości nerek i pęcherza. Duża zawartość krzemionki przyczynia się do wzmacniania tkanek. Jedną łyżkę stołową ziela na szklankę wody gotować przez pół godziny. Pobudza porost włosów wstrzymuje ich wypadanie.

Macznica (liście) jako środek moczopędny znajduje rozległe zastosowanie przy dolegliwościach nerek, miedniczek nerkowych, przy kamieniach nerkowych i wodnej puchlinie. Jedną łyżkę stołową liści na szklankę wody moczyć na zimno przez kilka godzin, następnie w tej samej wodzie gotować przez 10 minut.

Len (Siemię lniane). Gęsty napar z dodatkiem rumianku jest znakomitym i powszechnie używanym środkiem przy chorobach piersiowych. uporczywym kaszlu i chrypce. Działa łagodzą co przy wrzodach żołądka i jelit. Wykazuje skuteczność przy dolegliwościach nerek, pęcherza i przewodów moczowych.

Dąb (kora) — odwar sporządzony przez półgodzinne gotowanie, 100 gr. rozdrobnionej kory na 0,5 litra wody jest nieocenionym środkiem na cuchnące rany nadto do płukania przy zapaleniach i katarach gardła. Często gorące kąpiele w odwarze usuwają od mrożenia rąk i nóg.

Kruszyna (kora) — Należy używać tylko **dwuletniej** kory w postaci **lekkiego** odwaru z niepełnej łyżeczki od herbaty na szklankę wody. (dla dzieci słabszą herbatkę). Stosować jako łagodny środek w wypadkach chronicznego zaparcia, niektórych dolegliwości wątroby, na kamienie **nerkowe** i niespokojne sny. W postaci **lekkich** herbat skutkuje przy przemęczeniach, zawrotach. Odwar usuwa świeżbę i liszaje u ludzi i zwierząt.



Gorące kąpiele w odwarze z kory dębowej usuwają odmrożenia rąk i nóg

Tatarak (kłącze). Wzmacnia żołądek i nerwy. Pobudza apetyt. Działa wiatropędnie i lekko rozwalniająco. Uspakaja i ogrzewa (przy przeziębieniach). Kąpiele z dodatkiem odwaru znakomicie wzmacniają osoby a szczególnie dzieci wyczerpane, osłabione i rachityczne. Wspaniały środek dezynfekujący jamę ustną. Hamuje wypadanie włosów.

Kocanka piaskowa (kwiat) — Powszechnie znany środek ludowy na dolegliwości wątroby, przy żółtaczce, robakach i chorobach skórnych. Stosuje się w infuzjach.

Kolender (owoc-nasienie) — Sproszkowane nasienie znajduje zastosowanie w dolegliwościach żołądka i w zimnicy. Napar przyrządza się na kaszel, zapalenie jamy ustnej i jako środek wiatropędny. W cukiernictwie używany do wypieku ciast, w wędliniarstwie od wyrobu wędlin, w przemyśle zamiast anyżu do wódek i likierów.

NAUKA i POSTĘP

ELEKTRONY ZROBIŁY PRZEWRÓT

w mikroskopii

Olbrzymią sensacją roku 1590 był wynaleziony przez Zachariasza **Jansena mikroskop**, po raz pierwszy u**kazujący** zdumionym oczom ludzkim tajemnicze i pełne dziwów bogactwa świata. Pod koniec XVII wieku, dzięki studiom i doświadczeniom **Antoniego van Leeuwenhoek** z Delft, wtargnięto w fantastyczną dziedzinę życia najmniejszych tworów — drobnoustrojów. Wraz z rozwojem techniki możliwa się stawała dokładna obserwacja coraz to drobniejszych i liczniejszych szczegółów, aż wreszcie przy pomocy najsilniejszych **mikroskopów optycznych** osiągnięto efekty 1.800-krotnego powiększenia.

Przez wiele lat przyrodnicy musieli się zatrzymać na tym — zdawało by się — szczytowym osiągnięciu. Ale życie toczy się ciągle i postęp je popędza...

Skonstruowano ostatnio tzw. **mikroskop elektronowy**, który potrafi powiększyć obraz obserwowanego obiektu 150.000-krotnie (!) a nawet i więcej. Dla oczu naukowców w dziedzinach biologii, mineralogii, metalurgii itd. otwierają się dalsze szerokie światy badań i poznań.

Mikroskop elektronowy pozwala obserwować pojedyncze drobiny oddalone od siebie zaledwie o 0,000.002 mm, podczas gdy przy pomocy zwykłego mikroskopu optycznego, drobnoustroje itp. rozróżniane są przy oddaleniu 0,0002 mm. Mikroskop elektronowy daje więc powiększenia 100-krotnie przewyższające maksymalne możliwości aparatu optycznego.

W najprostszym typie mikroskopu zwykłego zastosowane są dwie soczewki: tzw. obiektyw i soczewka oczna. Badany przedmiot umieszcza się w odpowiedni sposób, by powstał obraz powiększony. Koniecznością tu jest, aby tzw. przez fizyków „koncentracja" (w języku laików — możliwość rozróżniania) stwarzała warunki, umożliwiające obserwację molekuł (cząsteczek) jako pojedyńczych drobin. Przy pomocy mikroskopu optycznego bezcelowe byłyby usiłowania osiągnięcia coraz to większych powiększeń, ponieważ ruch falujący. właściwy promieniom świetlnym. umożliwia zastosowanie dodatkowych zespołów soczewkowych.

Musimy się tu na razie zatrzymać i udzielić kilku dodatkowych wyjaśnień niezbędnych do pełnego zrozumienia powyższego zdania i dalszej treści naszego artykułu.

Prosimy wziąć kawałek kartonu i wyciąć w nim kółko, wielkości mniej więcej przedwojennej pięciozłotówki, a następnie w ciemnym po koju przepuśćmy przez ten otwór światło silnej lampy na białą ścianę. Na ścianie utworzy się wówczas wyraźnie zarysowany krążek świetlny wielkości otworu, przez który światło przepuszczono. Powtórzmy ten sam eksperyment z otworem pochodzącym od przekłucia kartonu szpilką i cóż zobaczymy? Światło na ścianie nie będzie już miało kształtu ostro zarysowanego krążka, lecz będzie rozproszone (o ile w ogóle przejdzie przez mały otworek). Promienie świetlne, przechodzące przez wąskie otwory nie biegną prosto, lecz ulegają rozproszeniu. Zjawisko to ma miejsce, jeśli odległość między przedmiotami jest mniejsza od długości fal świetlnych. Właśnie pod mikroskopem przedmioty obserwowane ograniczone są do grup cząsteczkowych, położonych w bezpośredniej od siebie bliskości. Odległość ta między cząsteczkami jest mniejsza od długości fal świetlnych. Z tej przyczyny działanie mikroskopu optycznego jest w swym zakresie mocno ograniczone.



Aparat, który rewolucjonizuje naukę — doświadczalny mikroskop elektronowy, zmontowany w Eindhoven (Holandia), który pracuje przy napięciu 400.000 volt i daje powiększenia 150.000-krotne.
(fot. Philips, Eindhoven)

Działanie natomiast mikroskopu elektronowego oparte jest na zupełnie innej zasadzie: nie na promieniach świetlnych, lecz — jak sama nazwa już wskazuje — na elektronach. Elektrony są to najmniejsze. jakie mogą istnieć, ładunki elektryczne, posiadające właściwość falowania w znacznie mniejszym stopniu, niż światło. Elektrony potrafią również utorować sobie drogę przez najmniejszą nawet szczelinkę.

Aby zbudować mikroskop, w którym promienie elektronowe, a nie świetlne, mają tworzyć obraz powiększony, potrzebne jest oczywiście źródło elektronów. Następnie potrzebna jest „soczewka", skupiająca wiązkę elektronową na obserwowanym obiekcie oraz „soczewka", mająca za zadanie ponowne łączenie w jednym punkcie promieni wychodzących z innego punktu.

Włókno znajdujące się w „działku elektronowym" powoduje emisję elektronu, a wysokie napięcie ujemne wpływa na wielką szybkość wyrzutu. Droga przelotu elektronu pomiędzy włóknem a obrazem końcowym przebywana jest w próżni, gdyż elektrony zatraciłyby szybkość na skutek zderzenia się z molekułami powietrza, co stanowiłoby przeszkodę w otrzymywaniu obrazów. Widząc teraz możliwości zmieniania biegu promieni elektronowych, możemy przy wyżej wspomnianych „soczewkach" uzyskać obraz. Stwierdzono, że jako soczewki elektronowej można również użyć pieścieniowej cewki z drutu, którą umieszcza się wokoło wiązki elektronowej. Prąd elektryczny, przepływający przez cewkę, zmienia ją w elektro-magnes. Siła, jaką magnes wywiera na promień elektronowy, zmienia jego bieg.

(Dokończenie w numerze następnym)

Próbka tłuszczu powiększona 13.000 razy, zdjęta w Instytucie Mikroskopii Elektronowej w Delft. Olbrzymia zdolność rozdzielcza mikroskopu pozwala stwierdzić, że cząsteczki są zgrupowane w długie splecione łańcuchy. Małe białe banieczki ca 2 mm średnicy, widoczne na dolnym odcinku zdjęcia, są w rzeczywistości nie większe niż o średn. 0,00001 mm. Nie są to jeszcze najmniejsze części badanej substancji, gdyż stanowią one zgrupowania przynajmniej 1 miliona cząsteczek.

(Patrz ilustracje na str. 20) (Fot. Persbureau Industria)

Rzeczy ciekawe

W KRAINIE WĘŻY

W Brazylii znajduje się największy na świecie instytut, wyrabiający zbawcze serum przeciwko ukąszeniu węży jadowitych, od których rocznie ginęło tysiące osób. Mieści się on w pobliżu miasta, w ładnej okolicy. Otoczony jest pięknym ogrodem i parkiem obejmującym kilka hektarów przestrzeni. W specjalnych zabudowaniach, otoczonych kanałem wodnym i murem, znajduje się kilkaset węży jadowitych różnego gatunku i wielkości, którym co pewien czas odbiera się jad do przeróbki na serum.

Za każdą dostarczoną żmiję daje instytut ampułkę serum,

Instytut otrzymuje rocznie przeszło 6.000 żmij, które przy życiu utrzymuje się około 6 miesięcy bez pożywienia, niektóre zaś szczególnie grzechotniki nawet do roku.

Jad grzechotnika jest pięć razy silniejszy od jadu innych żmij i bez pomocy serum ukąszenie kończy się zawsze śmiercią.

Żmije w Brazylii spotyka się niemal na każdym kroku, na drogach. ścieżkach, piaskach, pomiędzy kamieniami oraz przy ścinaniu drzew i koszeniu trawy lub zboża, a nawet w zabudowaniach gospodarczych.

Chwyta się je łatwo przy pomocy drążka, na końcu zakrzywionego, na którym się żmiję podnosi w górę. W ten sposób pozbawia się ją możności obrony, gdyż w górze, nie mając oparcia, nie może atakować.

Jadowita żmija porusz się z reguły wolno i w razie niebezpieczeństwa, celem obrony lub ataku wstrzymuje ruchy, zwija się i oparta na ogonie, rzuca się na wysokość. stanowiącą połowę swej długości. nigdy natomiast nie goni swej ofiary.

Żyje tu także wiele gatunków węży niejadowitych. bardzo zwinnych i trudnych do schwytania. Są gatunki żyjące przeważnie w wodzie i wspinające się po drzewach. W dziewiczych lasach Matto Grosso i Amazonas są olbrzymie węże „Boa" dusiciele. dochodzące do kilkuset metrów długości.

Przy instytucie znajduje się muzeum bogato zaopatrzone w wiele ciekawych obiektów, zakonserwowanych węży, skorpionów. żab, pająków i robaków jadowitych. których w całej Brazylii jest bardzo wiele gatunków. Są tu jadowite pająki wielkości 20 centymetrów. żaby wiel kość! królika. drobne robaczki. składające swe jajka pod skórą ludzką. tworzące olbrzymie ropiejące rany i wiele drobnych na pozór. a strasznych w skutkach robaczków i muszek.

F.

HELIODOR KUC

AGATKO, GDZIE TY?

WSZYSTKO TO JESZCZE NIE

Satyryczno-parodystyczna
POWIEŚĆ KRYMINALNA

XI.

(Ciąg dalszy)

Auto zakołysało się na zakręcie i wjechało na drogę. Nie zdążyło przebiec kilkudziesięciu metrów, gdy Iskander dotychczas spokojny (był oszołomiony pędem), nastroszył się, nastawił uszy, zaczął węszyć i zdradzać objawy zdenerwowania.

— Czuje już, panie Komisarzu — odezwał się cicho Pstryk: — co to za pies! Brylant! Zawsze mówiłem, że takiego...

W tym momencie Iskander wyciągnął szyję i wydał z siebie głos, podobny do wycia, ale dyskretny, rozumiał bowiem powagę sytuacji. Zakręcił się gwałtownie pomiędzy nogami obydwu panów, okazując wyraźnie, że coś tu nie jest w porządku.

— Stój, Blum! — szepnął Monk.

Samochód podjeżdżał właśnie do buczyny. Zahamowany lekko, stanął.

— Baczność, chłopcy! — skomenderował Monk Szeptem.—Sprawdzić broń! Iskander się niepokoi... Uwaga...

— Cholerny ten księżyc — odezwał się Pstryk: — Nie może być nic gorszego na takiej wyprawie. Zawsze mówiłem...

— Cicho, Pstryk! — skarcił go Monk, otwierając drzwiczki samochodu. Iskander wypadł jak strzała, przystanął, wciągnął powietrze i, spuściwszy pysk, począł węszyć wzdłuż ścieżki, wiodącej w buczynę.

— Blum zostaje przy aucie — rozkazał Monk — chłopcy, za mną! Zdaje mi się, że czuję zapach perfum gubernatorowej...

Trzej wywiadowcy zagłębili się w lasek. Możemy się z łatwością domyślić, co nastąpiło dalej. Po kilkunastu sekundach Iskander, zatrzymał się nad leżącą gubernatorową. Uniesiona krzepkimi rękami trzech wywiadowców, owachlowana ich chustkami, gubernatorowa otworzyła oczy.

— Gdzie dziecko? — były jej pierwsze słowa, lecz natychmiast, przypomniawszy sobie wszystko, widząc w rozpaczy, jak okropnie zawiódł ją instynkt macierzyński, wybuchnęła płaczem.

Pstryk podniósł z ziemi spowite w łachmany dzieciątko i ze czcią podał je gubernatorowej.

— Precz! — krzyknęła jak w opętaniu, odpychając je od siebie obiema rękami.

Wywiadowcy spojrzeli na siebie z przerażeniem; jedna myśl przeszyła błyskawicą ich mózgi: nieszczęśliwa kobieta musiała zwariować z nadmiaru wrażeń i wstrząsów.

— Ekscelencjo! — szepnął Monk — odwagi, odwagi! I spokoju, nade wszystko spokoju! Agatka jest, żyje! Ekscelencjo, żyje!

Jeszcze gwałtowniejszy wybuch płaczu był odpowiedzią na te słowa pociechy.

— To z radości, ekscelencjo — uśmiechał się Monk współczująco — ze szczęścia!

Tymczasem Pstryk, trzymający niemowlę, trącił go dyskretnie w bok i pokazał rozpowite łachmany. Monk jęknął.

— Szantaż! — krzyknął, nie panując nad sobą — wiedziałem, że tak się skończy. Tłumaczyłem ekscelencji, mówiłem... Ekscelencja nie chciała słuchać... Instynkt macierzyński!... Ładny mi instynkt!

Ta śmiałość Monka przywróciła gubernatorową do równowagi.

— Zapomina się pan! — rzekła krótko i wyniośle — Gdzie moja torebka? Proszę mi dać torebkę, lusterko, puderniczkę i crayon [1]... Natychmiast.

Trudno było spełnić to żądanie. Dookolne poszukiwania w trawie i na ziemi nie dały wyniku, aczkolwiek wywiadowcy pomagali sobie latarkami.

— Pamiętam przecie, że ją miałam do ostatniej chwili — denerwowała się gubernatorowa — pieniędzy tam nie było. miałam je w woreczku na piersiach... Chyba... Tak, z pewnością... Ten affreux [2] Dżagan musiał ją zabrać... No, moi panowie — gubernatorowa, ochłonąwszy zupełnie, weszła już całkowicie w rolę rozkazodawczyni, właściwą sobie i należną jej niejako z urzędu — dość już tego. Na takie wybryki nie wolno pozwolić! Na oczach całej Haparandy kradną gubernatorowej 500 dukatów, podrzucają jej jakiegoś bękarta, wydzierają jej torebkę, rabują samochód... To przechodzi wszelkie pojęcie! Panie Monk, czynię pana za to całkowicie odpowiedzialnym i nie omieszkam z tego wyciągnąć konsekwencji...

Daremne byłyby wszelkie tłumaczenia czy wyjaśnienia Monka. Mógł był sobie powtórzyć w duszy słowa, które już wyrzekł w myśli, jadąc samochodem: „babskie brewerie". Mogło mu to sprawić ulgę, ale nie chroniło bynajmniej od gniewu gubernatorowej, który spaść mógł na jego głowę istotnie „najdalszą konsekwencją", tj. po prostu dymisją lub jeszcze czymś gorszym. Wiadomo bowiem od wieków, że — jak powiedział poeta—„my rządzimy światem, lecz nami kobiety", a w Haparandzie — musimy to wyznać nie bez smutku — wpływ kobiet dawał się odczuwać nawet w dziedzinie polityki. Toteż Monk westchnął tylko i zapytał:

— Przepraszam... Ekscelencja raczyła powiedzieć: Dżagan musiał ją zabrać? Jak to należy rozumieć No, ten ohydny żebrak, który mi wskazał drogę... A wydał się taki życzliwy. Jak to nie można jednak wierzyć ludziom...

— To prawda, ekscelencjo. I dlatego pozwalałem sobie odradzać ekscelencji tę sprawę.

— Pan? To mąż mój nie chciał mnie puścić. Pan? Pan tylko łaskawie mnie zapytał, dokąd jadę...

— No to jeszcze gorzej — pomyślał Monk i rzekł głośno — tracimy zbyt wiele czasu. Musimy działać. Jeśli chodzi o dziecko, tak czy inaczej, trzeba je zabrać ze sobą, do sierocińca...

— Naturalnie — zawołała gubernatorowa, która uczuła nagle litość i sympatię do Bogu ducha winnego maleństwa: — Dajcie mi je, niech je utulę. Cóż winne to biedactwo? I nie do sierocińca... Ja się sama nim zaopiekuję, dopóki nie powróci Agatka. I nawet potem... Niech rosną i chowają się razem... jak siostrzyczka z braciszkiem. Tak, panie komisarzu, biorę je na pamiątkę tej fatalnej wyprawy.

Gubernatorowa uśmiechnęła się blado, przez łzy, jak człowiek, spełniający dobry uczynek i skutkiem tego zadowolony z siebie; po czym, wyciągając rękę do Monka, dodała:

— Powiedziałam panu parę słów przykrych. Niech mi pan wybaczy i zapomni... Proszę o to, serdecznie proszę... Rozumie pan chyba mój stan i rozpacz...

Monk odetchnął z ulgą. Pochylił się z szacunkiem do ręki gubernatorowej, i złożył na niej pocałunek, czując jak go ogarnia płynąca od niej fala subtelnych perfum „Quatre Epingles" — zapach, który lubił ponad wszystkie.

Na niebie świecił beznamiętny, obojętny na wszystkie sprawy ludzkie, odwieczny, niezmienny księżyc. Chłopczyk, złożony na łonie gubernatorowej i otulony troskliwie jej płaszczem, zakwilił cichutko i usnął, odurzony być może również pięknymi perfumami. Nie ulegało wątpliwości, że po raz pierwszy w swym króciutkim życiu zasnął na łonie tak wytwornej i pachnącej kobiety.

ROZDZIAŁ V.

Plan działania. — Krzywy Feluś. — Monk ciężko potłuczony. — Spotkały się Marysie. — Co dalej?

W drodze do samochodu, czekającego z Blumem na szosie, Monk korzystając ze zmiany usposobienia i nastroju gubernatorowej, zadał jej kilka pytań, zmierzających rzeczowo do wyjaśnienia sytuacji i uzyskania jakichś, o tyle, o ile konkretnych wiadomości co do bandytów. O dziwo: okazało się, że gubernatorowa, mimo napięcia nerwów, w jakim się odbyło jej spotkanie z bandytami, zapamiętała dość dużo ważnych szczegółów. Opisała dokładnie (nawiasem mówiąc, kobiety mają dobrą pamięć wzrokową: jeden rzut ich oka na suknię przyjaciółki wystarczy, by ją dokładnie skrytykować); opisała więc gubernatorowa powierzchowność żebraka, którego nie przestała nazywać Dżaganem; wymieniła imiona bandytów — Antek, Franek, Jasiek; przypomniała sobie, iż któryś z nich krzyknął Dżaganowi, że mają się spotkać u Krzywego Felusia, wreszcie powiedziała, że dziewczyna, która wręczyła jej dziecko, miała na imię Maryśka: tak na nią wołali bandyci. Ale, czy to była Marysia Bysiówna, czy jakaś inna, tego nie mogła gubernatorowa w żaden sposób ustalić, dziewczyna bowiem wychyliła się z krzyków jak upiór, w ostatniej chwili, gdy Buick z bandytami miał już ruszać, i pozostawała w ciemności, i tak szybko to się wszystko stało...

— Jakie jednak ekscelencja ma wrażenie? — zapytał Monk — wprawdzie na pół godziny przed swoim pospolite, trudno przypuścić, żeby to był aż tak dziwny zbieg okoliczności, że akurat musiały się znaleźć dwie dziw... pardon — dwie dziewczyny tego samego imienia, zwłaszcza, że był tam jakiś Jasiek, coby wskazywało na Jana Kura.

— I ja tak sądzę — odrzekła gubernatorowa: — w pierwszej chwili byłam nawet przekonana, że to moja Marysia.

— Hm... Zobaczymy, dowiemy się, sprawdzimy. A biedny doktór Feder, pojechał z nimi?

— Tak. Strasznie mi go żal. Niesłychanie zacny człowiek, wierny i oddany memu mężowi jak pies, a w ostatnich chwilach okazał nam tyle serca...

— Hm... No cóż? Wyratujemy go, oczywista, może być ekscelencja najzupełniej spokojna — mówił Monk: wprawdzie na pół godziny przed swoim wyjazdem zrobił mi dużą przykrość...

— Co pan mówi? Doktór Feder? To go do rany przyłożyć!

— Jak do czyjej, ekscelencjo, jak do czyjej...

— Cóż on panu zrobił?

— A, mniejsza z tym... Drobiazg. Coś tam dawał do zrozumienia o powrozie...

— O powrozie? Nie rozumiem.

Ale nie czas już było na dalsze załatwianie porachunków osobistych: towarzystwo znalazło się przed samochodem. Blum, zmęczony całodzienną pracą i ze zbolałą jeszcze szczęką, drzemał snem sprawiedliwego. Należało się zastanowić, co przedsięwziąć. Sprawa byłaby prosta, gdyby nie obecność gubernatorowej i niemowlęcia.

Monk ze swymi wywiadowcami i z Iskadrem pojechaliby dalej na Lapampę, gdyż prawdopodobnie w tamtym kierunku uciekli bandyci z Bulckiem. Zresztą Oskander wyrywał się niedwuznacznie w tamtą stronę. Ael cóż zrobić z gubernatorową i z dzieckiem.

— Ekscelencjo — powiedział Monk z ukłonem: — nie ma chwili do stracenia. Musimy z miejsca ścigać tę bandę. Ekscelencja, oczywista, nie może nam towarzyszyć... Monk zaciął się na sekundę, lecz natychmiast zaryzykował na łeb na szyję: — Czy Ekscelencja nie raczy się udać pieszo do Haparandy? Noc księżycowa i ciepła, odległość niewielka, przechadzka urocza...

Gubernatorowa cofnęła się o krok, zmierzyła Monka zimnym spojrzeniem od stóp do głów, aż go przeszły ciarki, i mrużąc prawe oko rzekła:

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

[1] Crayon (franc.) dosłownie: ołówek, kredka. Tutaj w znacz. pomadki do ust (przyp. autora).
[2] Ohydny, obrzydliwy.

POECI I PISARZE W ANEGDOCIE



CIETRZEW I BAŁWAN

Franciszek Karpiński na starość osiadł w majątku, ofiarowanym mu przez króla Stanisława Augusta i rzadko jeździł do miasta, ale chętnie odwiedzał lub przyjmował u siebie sąsiadów. Nienawidził fircyków, paplających po francusku. Skoro tylko takiego gościa spotkał w towarzystwie, tracił humor i najczęściej cichaczem wynosił się. Zdarzyło się razu pewnego, że jeden taki frant, wychwalając poezje cudzoziemskie, zaczął szydzić z polskiego języka, dowodząc, że jest „gruby i nieharmonijny".

— Waćpan byłeś podobno poetą — rzekł, zwracając się do Karpińskiego— powiedz mi, jak dobrać rym do wyrazu: cietrzew?

Karpińskiemu oczy zapłonęły ogniem. Stuknął laską w posadzkę i nie namyślając się wiele, odpowiedział:

„Spomiędzy drzew
Wyleciał cietrzew.
Szukał bałwana:
Siadł na waćpana."

Fircyk zaczął zżymać się, ale zebrani goście otoczyli go kołem i wytłumaczyli, że niesłusznie zaczepił sędziwego starca.

Nasze korespondencje zagraniczne

DO YOU LIKE NEW ZEALAND?

Z pytaniem tym spotka się w tym kraju każdy cudzoziemiec. Krępujące pytanie. Jakże tu odpowiedzieć? Niebezpieczne pytanie, bo Nowozelandczycy uwielbiają swój cichy kraj i nie wyobrażają sobie życia gdzie indziej.

A spotkasz się z tym pytaniem wszędzie — na przyjęciu prywatnym w kinie, na dworcu kolejowym i w tramwaju. Zapyta cię policjant i gazeciarz, minister i housekeeperka*).

Gdy będziesz nieco zwlekał z odpowiedzią, będą na ciebie patrzeć badawczo, pewni jak śmierci odpowiedzi potwierdzającej.

Sam siebie nieraz zapytuje — czy lubię Nową Zelandię.

O tak, naturalnie. Dlaczego jej nie lubię? Jest to przecież kraj wygody i dosytu. Szczególnie wyspa północna.

Klimat łagodny wyspiarski. Cały rok zielenią się pola. Okrągły rok kwitną kwiaty w ogrodach. W zimie paradujesz bez płaszcza, w lecie nie pocisz się z gorąca. Rzeki i jeziora pełne ryb; góry i lasy pełne dzików, jeleni i królików. Królików tu pełno, jak w Australii. Po prostu inwazja króliczna. Klęska. Pola w podkopach i góry zdają się żywe, bo to ród króliczy jest już z natury swej ruchliwy. A pstrągów, jak u nikogo na świecie. Ryb wszelakich pełno, tylko sobie Europejczyk język wykoszlawia ucząc się ich maoryskich imion. Za niszczenie węgorzy, których tu się nie jada, rząd płaci premie, bo tak ich jest dużo, że wyrządzają ogromne szkody.

Myśliwi i wędkarze mają pełne ręce roboty.

Ludzie żyjący z ziemi, farmerzy, nie mieszkają w skupiskach, przypominających nasze wioski, i sami mało przypominają naszego chłopa.

Gdyby tu żył i pisał swoją chłopską epopeję Reymont, na pewno nadałby jej tytuł: „Łatwe życie".

Farmer tutejszy bowiem oddał pług do muzeum, konia hoduje do wyścigów, ziemi pod zasiew nie zorze, nie zbronuje, kartofle co najwyżej posadzi w ogrodzie.

Toteż nie widać pól uprawnych. Na północnej wyspie farmerzy pól nie uprawiają, przeszli na gospodarkę hodowlaną i żyją z trawy.

Trawa zieleni się tutaj cały rok. Cały rok bydło ma świeżą paszę. Łagodny klimat pozwala bydłu przebywać na świeżym powietrzu w dzień i w nocy przez cały rok. Farmer nie potrzebuje budować ni obór, ni stajni. Toteż jeśli farmer ma sto akrów ziemi, nie będzie miał tyle zachodu koło niej, co chłop mazurski. Puści na te sto akrów ziemi 50 krów, ogrodzi im pole drutem, aby się nie rozbiegły, a sam cały dzień pali fajkę.

Dwa razy dziennie krowy podchodzą do szopy, gdzie odbywa się udój. Człowiek nie doi ręcznie, zaprzągł do udoju elektryczność. Elektryczne dojarki wyręczają go w pracy znakomicie. On sam dogląda jedynie maszyny. Aby i to mu się nie nudziło rozkręca na cały regulator radio. Robi to zresztą nie tylko gwoli przyjemności. Krowy ponoć lubią muzykę bardziej niż dojenie i dlatego tak chętnie w porze dojenia same udają się do szopy, swojej sali koncertowej. I o dziwo, zachowują się tak, jak najkulturalniejsi słuchacze. Mimo dogodne warunki klimatyczne, mimo ułatwienia w pracy farmerzy tutejsi narzekają. Istotnym powodem ich rozgoryczenia jest to, że nie mogą od nieść zwycięstwa w wyborach. Nie mają swego rządu, który by nie ograniczał ich pędu do bogacenia się. Nowa Zelandia tak jak i Australia ma rząd socjalistyczny. Wśród ministrów są niedawni jeszcze robociarze, którzy pamiętają twarde życie robotnika fabrycznego czy rolnego i tak rządzą, aby farmer nie mógł wyzyskiwać swego robotnika.

Farmerskie kasy nie pęcznieją z nadmiaru złota, a robotnikowi wystarczy na wszystko: na pokarm, na ubranie, na książkę i na zabawę, a nierzadko na własne auto. Rząd socjalistyczny określił minimum zarobkowania. Nikt na warunkach niżej określonego minimum nie może być przez nikogo zatrudniony.

Toteż stopa życiowa Nowej Zelandii jest bardzo wysoka. Jeśli można byłoby porównać Nową Zelandię z krajem europejskim to chyba z taką Szwecją, czy Danią. Ze Szwecją choć by już z tego względu, że Nowa Zelandia jest podobnie jak Szwecja zelektryfikowana i podobnie jak w Szwecji można tu wieść ułatwione życie.

Wysoka stopa życiowa przejawia się również w obfitości wszelkich maszyn, a jeśli chodzi o auta, to mniej więcej na każde 5 osób przypada jedno auto. Ma auto nauczyciel, którego znam, ma auto oczywiście mój znajomy lekarz, mają wozy i to ładne właściciele sklepów drogeryjnych, każdy farmer przyjeżdża do miasta po sprawunki swoim własnym pięknym wozem, nierzadko swoimi własnymi wozami udają się do pracy robotnicy, a wprost pięknym własnym Buick'em jeździ szewc, do którego idę pieszo odnosząc buty do reperacji.

Przyznać się tutaj do tego, że się nie umie prowadzić maszyny to tyle, co przyznać się kiedyś w Polsce do nieumiejętności pisania i czytania.

Niejeden kulturalny Europejczyk przeżyć musi to tutaj, jak upokorzenie. Bo jakżeż to proszę państwa 70-letniej lady prowadzącej swoją maszynę z szybkością 40 mil angielskich na godzinę, — odpowiedzieć w tej sprawie — No. Ididu*) lub co gorsza być zmuszonym odpowiedzieć tak 18-letniej smarkuli — Fe, wstyd.

Nowozelandczycy pieszo prawie nie chodzą. Jeżdżą. Do pracy i z pracy, na spacer i na wycieczki. A na śmigają we wszystkie strony. A dni targowe w małych miasteczkach wyglądają jak raidy automobilowe w starych krajach Europy. Weekend (sobota i niedziela dni wolne od pracy) Nowozelandczycy spędzają na szosach. Pęd jest poezją ich wypoczynku. Pęd i morze. Auto bowiem przybliżyło morze do domu Nowozelandczyka.

Dla ilustracji proszę: w upalne popołudnie niedzielne na małej plaży osady morskiej stanęło — bagatelka — 3.000 wozów.

Czy jednak Nowozelandczycy potrafią w pełni korzystać ze swoich przywilejów? I tu muszę stwierdzić, że mało wykazują pomysłowości. Po prostu jako typowym anglosasom brak im i w tym kierunku wyobraźni.

Zadowolmy się jednym przykładem owego gentlemana, który każdy swój weekend spędzał nad brzegiem morza, ale śpiąc po kilka godzin w swoim aucie.

Myślę, że do snu lepiej nadaje się łóżko lub tapczan. Tylko, że w poniedziałek nie można wtedy powiedzieć do swoich kolegów: — Byłem wczoraj po południu na plaży i przeżyłem swój ładny dzień.

Mieczysław Piołun

*) Nie umiem.



Wełna i mięso, to główne artykuły dostarczane przez Nową Zelandię Europie.



Szpital w stolicy Nowej Zelandii, położony wśród zieleni ogrodu.
British Photo



Chociaż w górach leży śnieg, w dolinie zielono i gra się w golfa.
British Photo

Z KONCERTÓW FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

W ubiegły piątek wykonała orkiestra Filharmonii Warszawskiej utwory L.V. Beethovena, M. Ravela i polonezy M.K. Ogińskiego w opracowaniu R. Palestra. Program różnorodny ale warto było posłuchać przede wszystkim Beethovena, stanowącego zawsze pozycję wystarczająco atrakcyjną w każdym miejscu i czasie.

Ostatnio usłyszeliśmy III Symfonię Es-dur Eroikę. Dzieło to skomponowane zostało na cześć Bonapartego jeszcze gdy był Konsulem, a pozbawione tej dedykacji z chwilą, kiedy Napoleon został cesarzem.

Orkiestrą Filharmonii dyr. P. M. Mierzejewski, który i tym razem nie zawiódł oczekiwania. Mierzejewski, jako dyrygent ma bezsprzecznie wysokie walory artystyczne, dyryguje ręką pewną. z dokładną znajomością swego zawodu, przy czym cechuje go ogromne napięcie duchowe. Mierzejewski wyciąga z orkiestry każdy szczegół.

Maurice Ravel, stanowi nowoczesny kierunek w muzyce. Jego koncert fortepianowy, napisany na kilka lat przed wojną nie tworzy ciekawej kompozycji. Jedynym wyłomem jest druga część utworu.

Solistką wieczoru była p. Maria Wiłkomirska, która dysponuje doskonałą techniką, dokładnością rytmiczną i wreszcie wydobywa z fortepianu efekty, które są szczególnie ważne u nowoczesnych kompozytorów m. in. i u Ravela. Publiczność żywo reagowała na wysoki poziom artystyczny pianistki i nagrodziła ją rzęsistymi oklaskami, zmuszając do kilkakrotnych bisów.

Poza wymienionymi utworami usłyszeliśmy także polonezy Ogińskiego w opracowaniu R. Palestra w wykonaniu orkiestry p. dyr. M. Mierzejewskiego.

St. K.

50 MILIONÓW JAJ i 360.000 KG SERA

DAJE ROCZNIE SPÓŁDZIELCZOŚĆ ZIEMI RZESZOWSKIEJ

Jeszcze w 1945 roku kiedy na terenie woj. rzeszowskiego grasowały bandy U. P. A., instruktorzy Okręgowego Oddziału Mleczarsko - Jajczarskiego „Społem" w Rzeszowie na piechotę, na rowerach, jak kto mógł i potrafił, rozpoczęli żmudną i trudną pracę werbowania spółdzielni do zbiórki jaj. Zdarzało się, iż wówczas kiedy losy wojny jeszcze ważyły się na szali, problem tak drobny, jak jajczarstwo nie odgrywał poważniejszej roli. Dzięki temu jednak, iż prace organizacyjne, a z nimi łącznie i praca nad odbudową pogłowia kur na odcinku hodowlanym, zostały tak prędko rozpoczęte — woj. rzeszowskie zarówno pod względem produkcji jaj, jak ich jakości i organizacji zbiórki wybiło się na czoło.

Już 1945 rok pozwolił Okręgowemu Oddziałowi zaopatrzyć w jaja tereny świeżo od wroga oswobodzone i Ziemie Odzyskane, dokąd w pierwszych miesiącach po ich oswobodzeniu dowieziono z Rzeszowa samochodami ponad 2 miliony jaj. Ten żywy kontakt handlowy, jaki Ziemia Rzeszowska za pośrednictwem Okręgowego Oddziału nawiązała z takimi samymi oddziałami na Górnym i Dolnym Śląsku, rozszerzył się znacznie w 1946 r., w którym już nie samochodami, a wagonami transporty jaj dążyły na Zachód, by wesprzeć aprowizacyjnie szerokie masy robotnicze na Górnym Śląsku i — nowoosiedlonych, pionierów na Ziemiach Odzyskanych. A było tych wagonów przeszło 100 (około 15 milionów jaj).

Począwszy od 1946 r. Okręgowy Oddział przystąpił do akcji konserwowania jaj na zimę. W roku tym zakonserwowano i rozprowadzono na zlecenie Funduszu Aprowizacyjnego około 4 miliony jaj. W r. 1947 ilość jaj zakonserwowanych przekroczyła 5 milionów sztuk, a ogólnie zbiórka w tym samym roku osiągnęła cyfrę 50 milionów sztuk, co stanowi przeszło 30% ogólnych dostaw jaj do wszystkich oddziałów mleczarsko - jajczarskich „Społem" na terenie całej Polski. Z ogólnej tej ilości wyeksportowano około 15 milionów jaj, a reszta w dalszym ciągu posłużyła do zaopatrywania rynków konsumcyjnych w całym kraju.

Za handlową penetracją jajczarską podążyła z Rzeszowa produkcja serowarska, ciesząca się wieloletnią tradycją. Tutaj bowiem przed wojną na Podkarpaciu istniało największe zagłębie serowarskie w Polsce, które powróciwszy do nowego wolnego życia, produkuje już dzisiaj około 30.000 kg sera miesięcznie i wybija się pod tym względem na jedno z czołowych miejsc w Polsce. Mamy tu do zanotowania fakt stworzenia nowego gatunku sera, tzw. „Salami", który swym smakiem, estetycznym wyglądem i praktycznym kształtem zdobył sobie prawo obywatelstwa. Ser ten, jako specyfik rodzimej produkcji, jest poszukiwany na wszystkich krajowych rynkach, cieszy się dużym popytem i znajduje najwyższe uznanie konsumentów.

Okręgowy Oddział Mleczarsko-Jajczarski „Społem" w Rzeszowie w latach 1944 — 1946 w nadmiarze prac organizacyjnych nie myślał o własnych potrzebach, zadowalając się bardzo szczupłymi i niewygodnymi pomieszczeniami na biuro i magazyny. Dopiero w 1947 r., kiedy praca w terenie ustabilizowała się i obroty Okręgowego Oddziału osiągnęły tak wysoki poziom, że nie tylko można, ale trzeba było zyskać nowe obszerne pomieszczenia, kierownictwo Oddziału odbudowało okazały gmach przy ul. Bocznej Dokierta w Rzeszowie, gdzie mieszczą się biura, garaże i magazyny.

Kierownikiem Okręgowego Oddziału jest ob. inż. Zbigniew Sander. Dział mleczarski prowadzi ob. Stefan Cichoń, a dział jajczarski — ob. Dzierżyński. (a.).



Nowa siedziba Okręg. Oddziału Mleczarsko - Jajczarskiego „Społem" w Rzeszowie.

ZAKŁADY WYTWÓRCZE „SPOŁEM" W RZESZOWIE ZASPOKAJAJĄ POTRZEBY WOJEWÓDZTWA

Zakłady Wytwórcze „Społem" (dawniej „Alko") w Rzeszowie, Główny Rynek 27, prowadzą wytwórnię wód gazowych, lemoniad i lodu sztucznego oraz hurtownię i rozlewnię piwa na potrzeby miasta Rzeszowa i powiatu rzeszowskiego. Ponadto Zakłady prowadzą rozlewnię 6% octu, zaspokajając zapotrzebowanie na ten artykuł rynku spółdzielczego całego województwa. Miesięczny rozlew i butelkowanie octu wynosi ca 25.000 litrów. Zakłady zatrudniają 25 pracowników umysłowych i fizycznych. Pracują rentownie przynosząc w pierwszych trzech kwartałach 1947 r. około 1.300.000 złotych nadwyżki. Kierownictwo Zakładów w osobie ob. Leszka Bieńkowskiego boryka się trudnościami lokalowymi. Dotychczasowy lokal jest stanowczo zbyt szczupły, co w wysokim stopniu hamuje dalszy rozwój tej placówki. (a)

Doceniając znaczenie zagadnień społeczno - gospodarczych, pracowniczych i kulturalnych ogłaszać będziemy stopniowo konkursy na różnego rodzaju reportaże.

W numerze 51 (75) ogłosiliśmy:

KONKURS

NA REPORTAŻ Z ŻYCIA SPÓŁDZIELNI W MIEŚCIE I NA WSI

obejmujący 5 stron maszynopisu i o ile możności ilustrowany. Reportaż powinien zawierać najbardziej znamienne objawy z życia spółdzielni, trudności, na jakie natrafiają działacze spółdzielczy oraz uzasadnienie życiowe i podstawy ich działalności.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

I nagrodę — 7.000.— zł

II nagrodę — 5.000.— zł

III nagrodę — 3.000.— zł

Redakcja zastrzega sobie prawo druku nadesłanych reportaży nawet przed terminem ogłoszenia wyników konkursu, jak również i prac nie objętych pierwszymi trzema nagrodami.

Nadesłane prace nie mogą być uprzednio drukowane w innych czasopismach.

Za prace wydrukowane Redakcja wypłaci honorarium według stawek obowiązujących (niezależnie od przyznanych nagród).

Maszynopisy lub czytelne rękopisy należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, ul. Szpitalna 5-8, do dnia 29 lutego 1948 r. (na prośbę czytelników termin przesunęliśmy).

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną 15 marca 1948 r.

ZAOPATRYWANIE GÓRNIKÓW W ŻYWNOŚĆ

Zaopatrzenie pracowników górnictwa w tanie artykuły żywnościowe ma dla tych pracowników i naszego przemysłu węglowego pierwszorzędne znaczenie. Doceniają to w pełni czynniki rządowe, które przy pomocy kartek obdzielają naszych górników zgoła poważnymi przydziałami taniej żywności. Rozdział tej żywności spadł na barki zamkniętych spółdzielni pracowniczych, jakie istnieją w poszczególnych kopalniach.

Dla skoordynowania działalności i ułatwień w zaopatrywaniu w towary, spółdzielnie te zrzeszyły się, powołując we wrześniu 1946 r. do życia Zrzeszenie Spółdzielni Spożywców Przemysłu Węglowego, Katowice, ul. Powstańców 5. Członkami Zrzeszenia jest w tej chwili 100 spółdzielni kopalnianych, które prowadzą łącznie 660 sklepów. Spółdzielnie te zaopatrują w artykuły pierwszej potrzeby: kartkowe i wolnorynkowe po cenach najniższych (bez zarobku) 250 000 górników, którzy razem z rodzinami stanowią ponad 900.000 rzeszę ludności.

Rekrutacja członków do spółdzielni kopalnianych odbywa się na zasadach absolutnej dobrowolności, a mimo to spółdzielnie te posiadają olbrzymią, bo wynoszącą 170.000 osób rzeszę członków, co stanowi około 85 proc. ogółu pracowników górnictwa.

Zrzeszenie jest dla spółdzielni kopalnianych z jednej strony instytucją patronacką, ucząc i instruując, a z drugiej — stanowi hurtownię, która te spółdzielnie zaopatruje w towary. O rozmiarach pracy Zrzeszenia świadczyć może tonaż rozprowadzanych towarów. Tonaż ten wynosi w dziale samych towarów reglamentowanych 12.000 ton miesięcznie. Tu doliczyć należy jeszcze akcje specjalne: ziemniaczaną, tekstylną, dziewiarską itp. W ostatniej akcji ziemniaczanej w okresie 2 miesięcy Zrzeszenie sprowadziło i rozprowadziło 130.000 ton ziemniaków, pokrywając zapotrzebowanie w 100 proc. W akcji tekstylnej i dziewiarskiej Zrzeszenie rozprowadziło towarów na sumę 600 milionów zł. W terenie Zrzeszenie działa przez swoje oddziały, których w tej chwili posiada dziewięć. Zrzeszenie prowadzi własne placówki wytwórcze: 13 młynów, 1 fabrykę przetworów chemicznych, 1 palarnię kawy, 1 rozlewnię octu i 1 paczkarnię artykułów kolonialnych. (a).

ROZBUDOWA SPÓŁDZIELCZEGO PRZEMYSŁU WIEJSKIEGO W WOJEWÓDZTWIE BIAŁOSTOCKIM

Okręgowy Oddział Przemysłowo-Rolny „Społem" w Białymstoku, ul. Waszyńskiego 2, powstał w czerwcu 1946 r. W pracy organizacyjnej Okręgowego Oddziału wiele było trudności, jak: brak lokalu, magazynów, odpowiedniego personelu fachowego itd. Drugie półrocze 1946 r., to okres organizacyjny, właściwa zatem działalność gospodarcza i handlowa Okręgowego Oddziału, przypada dopiero na rok 1947.

Działalnością swoją Okręgowy Oddział obejmuje obszar województwa białostockiego, współpracując w 50 gminnymi spółdzielniami Samopomocy Chłopskiej. Kierownikiem Oddziału, jest ob. Michał Borowik, a jego zastępcą — ob. Kazimierz Hankowski. Oddział zatrudnia 7 pracowników, a praca jego podzielona jest na szereg referatów.

Referat zaopatrzenia i zbytu ma za zadanie zaopatrywanie zakładów przemysłowych, prowadzących przez gminne Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, w surowce i urządzenia techniczne. W okresie od 1.VI.1946 r. do do 1.IX.1947 r. referat ten dostarczył spółdzielczemu przemysłowi rolnemu za 12 milionów zł różnych surowców i towarów.

Przy pomocy i pod nadzorem **referatu produkcji** w okresie od 1.VI.1946 r. do 1.IX.1947 r. uruchomiono przy gminnych spółdzielniach: 8 młynów, 2 olejarnie, 2 piekarnie, 2 cegielnie, 1 tartak, 1 kaflarnię i 1 gospodarstwo rybne. Referat rozprowadził między rolników 733 konie i 196 krów importowanych. Dla celów hodowlanych referat zakupił 150 krów wartości 7 milionów zł.

Referat włókienniczo-olejarski w akcji wymiany tekstylii na włókno dostarczył państwowym zakładom przemysłu włókienniczego: 350 ton włókna lnianego, 12 ton wełny i 15 ton przędzy lnianej. Przemysłowi olejarskiemu referat dostarczył 200 ton siemienia lnianego.

Referat przemysłu ludowego, istniejący dopiero od 1.IV.1947 r. dostarczył tkaczom wiejskim w terenie 4 tony przędzy, z której wykonano 10 tysięcy metrów różnych tkanin lnianych. Ostatnio zorganizowano wiejskie warsztaty tkackie, które produkują tkaniny wełniane, odzieżowe i tapicerskie. Referat uruchomił farbiarnię przędzy w Białymstoku oraz prowadzi akcję skupu tkanin ozdobnych o charakterze regionalnym. Rozpoczęto również produkcję filców (wojłoków) z wełny odpadkowej.

Referat mechanizacji rolnictwa uruchomił 7 ośrodki siewnikowych i 3 ośrodki traktorowe. Referat rozprowadza w terenie narzędzia rolnicze z przydziałów UNRRA. Zaplanowano również sieć gminnych ośrodków maszynowych, których w województwie powstanie 40.

Referat torfiarski zorganizował Spółdzielnię Torfiarską, która wydobyła 2.554 m sześc. torfu opałowego z kopalni Michałowo.

Referat ogrodnictwa uruchomił szkółkę drzew owocowych, zakupił w ostatnim sezonie 50 ton owoców dla własnej przechowalni i 20 ton warzyw dla wojska, rozprowadził 11 tys. drzewek owocowych i — środki chemiczne do walki ze szkodnikami sadów. **Referat skórek futerkowych** zakupił 400 skórek wartości 177 tys. zł i dostarczył je przemysłowi państwowemu. Wreszcie **referat skupu opadków** utworzył bazę zbieraczy w terenie, do starczając przemysłowi 60 ton szmat.

(a.)

JÓZEF DOMINKO

W OBLICZU NOWEGO OKRESU

Uchwały listopadowego Zjazdu „Społem" o reorganizacji ruchu spółdzielczego w Polsce zakończyły równo 3-letni okres pracy spółdzielczej w nowych warunkach — władzy ludowej. Odtąd, a właściwie już od początków czwartego kwartału 1947 roku, rozpoczęły się zmiany strukturalne w spółdzielczości, zwłaszcza działającej na wsi. Warto więc przypatrzyć się, jak się przedstawiał ruch spółdzielczy w dniu 1 października 1947 roku, właśnie w wigilię wielkich przemian.

Na to, co się nazywa spółdzielczością polską, składało się w omawianym przez nas momencie 12.913 spółdzielni, z czego 5.603 spółdzielni spożywców, istniejących zarówno na wsi, jak i w mieście. Poza tym w miastach było 2.270 spółdzielni pracy, rzemieślniczych, księgarskich, mieszkaniowych i oszczędnościowych. Na wsiach pracowało 4.905 spółdzielni, jak Samopomocy Chłopskiej, mleczarskich, ogrodniczych, rybackich, zdrowia, Kas Stefczyka itd. Różnych spółdzielni było 135.

Do tych spółdzielni należało 4.124.949 osób - członków. Z tej liczby 204.987 — to związani na stałe na codzień, pracownicy spółdzielczy. Kierownictwem zajmowało się 38.739 członków zarządu. Kontrolę sprawowało ponad 20 tysięcy członków rad nadzorczych. Dodatkowy nadzór społeczny należał do kilku tysięcy członków komitetów sklepowych. Reszta spośród wielomilionowej masy spółdzielców brała codzienny udział w gospodarce spółdzielni, na zebraniach rozpatrywała wspólne sprawy, decydowała o kierunku pracy spółdzielni.

Toteż słusznie mówi się o spółdzielczości, jako o organiźmie społeczno - gospodarczym, składającym się z tysięcy samodzielnych, żywych, wciąż czynnych komórek.

Jak każdy organizm, tak i spółdzielczość, dla swego wzrostu i pracy potrzebuje sprzyjających warunków. Dla spółdzielczości polskiej takie warunki zaistniały w Polsce Demokratycznej. Po ostatniej wojnie powstał dla realizowania skutków reformy rolnej nowy typ spółdzielni, mianowicie Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej. Liczba spółdzielni pracy powiększyła się 25-krotnie, pomocnicz - rolnych 15-krotnie, mieszkaniowych — 12-krotnie, księgarskich — 6-krotnie itd. Członków przez 3 lata przybyło ponad 2 miliony, liczba pracowników wzrosła 3 razy.

Metoda pracy spółdzielczej oddolna, organiczna jest niezbędna, często niezastąpiona w następujących dziedzinach życia gospodarczego: rozprowadzaniu towarów produkcji przemysłowej, wymianie towarów między wsią i miastem jako wiązadło drobnych gospodarstw wiejskich, w przetwórstwie rolnym, w rzemiośle oraz drobnym i średnim przemyśle. Zastępuje obliczoną na zysk inicjatywę prywatną, pomaga państwu w planowej nastawionej na dobro powszechne działalności gospodarczej. Jednocześnie daje możność bezpośredniego wpływania mas na życie gospodarcze, sprawia poczucie wolności i zadowolenia, jest czynnikiem wychowawczym.

Zobaczmy, jakie rezultaty dała praca spółdzielczości polskiej. W dniu 1 października 1947 r. było w Polsce 20.947 sklepów, prowadzonych przez różnego rodzaju spółdzielnie. Przed rokiem było ich o 5.459, przed dwoma laty — o 12.728, a przed trzema — o 16 tysięcy mniej, niż obecnie. Obroty za 1947 rok osiągnęły sumę ponad 200 miliardów złotych.

Jaką siłę oddziaływania na rynek ma ten aparat spółdzielczy? W porównaniu ze 158.871 zarejestrowanych zakładów handlu prywatnego, sklepów spółdzielczych jest prawie siedmiokrotnie mniej. Ale przeciętne obroty sklepów spółdzielczych są niewątpliwie większe Gdyby przyjąć, że sklep spółdzielczy, targuje dwukrotnie więcej, niż prywatny — bo pamiętajmy, że wśród przedsiębiorstw handlowych prywatnych jest dużo straganów, — to można obliczać, że obroty handlu prywatnego są tylko 4-krotnie większe od spółdzielczego. Już do tychczasowy aparat niewątpliwie wpływa uzdrawiająco na cały rynek handlowy — zwłaszcza, że ekspansja spółdzielczości idzie w kierunku ogarniania coraz szerszego asortymentu towarów. Kiedy przed wojną sklep spółdzielczy z reguły sprzedawał przeważnie tylko artykuły spożywcze, to obecnie poza sklepami ogólnospożywczymi, specjalnymi nabiałowymi, mięsnymi, piekarskimi, — mamy już 904 sklepy włókiennicze, 523 księgarskie, 619 z artykułami żelaznymi, 1.067 składów z materiałami budowlanymi oraz pokaźną ilość sklepów ze sprzętami domowymi, artykułami chemicznymi itd. Wyrazem ekspansji spółdzielczej w kierunku rozszerzania asortymentu jest założenie 25 uniwersalnych domów towarowych.

Handel spółdzielczy tylko w części opiera się o państwową produkcję przemysłową. Szuka on własnych, spółdzielczych baz towarowych. Artykuły żywnościowe w coraz większej mierze sklepy spółdzielcze miejskie otrzymują ze spółdzielni wiejskich, z fabryk, będących w posiadaniu „Społem", z własnych drobnych wytwórni i z coraz liczniejszych spółdzielni pracy wytwórczej. Wartość produkcji 353 fabryk „Społem" wynosi ponad 12 miliardów złotych, 4.701 drobnych spółdzielczych zakładów wytwórczych daje produkcję wartości rocznej około 22 miliardów złotych. Poza tym istnieje 1.224 spółdzielczych gospodarstw rolnych, hodowlanych i ogrodniczych z produkcją ponad pół miliarda złotych rocznie. Przy uporządkowanych należycie stosunkach wewnętrznych sektora spółdzielczego, ze źródeł własnych, łącznie ze skupem, handel spółdzielczy pokrywać by mógł około połowy swego zapotrzebowania towarowego. Należy zaznaczyć, że znaczna część ogólnokrajowego zapotrzebowania na mąkę, masło, mięso już dzisiaj pokrywana jest ze źródeł spółdzielczych.

Dodać potrzeba, że produkcja książek, poza szkolnymi, jest dzisiaj przeważnie w rękach wydawnictw spółdzielczych. Głód mieszkaniowy, razem z inicjatywą państwową, zaspokaja spółdzielczość mieszkaniowa i budowlana.

W ubiegłym 3-letnim okresie spółdzielczość, poza udziałem w budowie demokratycznej gospodarki, spełniła dodatkowe zadanie narodowe, ułatwiając zagospodarowanie Ziem Odzyskanych.

Ludność odzyskanych terenów wynosi około 5 milionów, stanowi 20 proc. ogółu ludności w Polsce. Rekrutuje się z osób, które znalazłszy się w nowych, nieznanych dotąd, warunkach, szukały pomocy z zewnątrz, często od państwa. Znalazło się też sporo osób uspołecznionych, które rozumiały, że wyjście z trudnego położenia należy szukać na drodze współdziałania i wzajemnej pomocy.

Takich rozumujących kategoriami społecznymi znalazło się na Ziemiach Odzyskanych 401.122 rodziny. Zorganizowały one 2.618 spółdzielni. Głównym terenem pracy spółdzielczej tutaj jest wieś. Spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej istnieją w 678 gminach. Powstały tutaj, nieznane w innych dzielnicach Polski, spółdzielnie parcelacyjno - osadnicze, których jest 74. Na tych terenach znajduje się większość polskich spółdzielni rybnych, 36 proc. ogrodniczo - warzywnych. Spółdzielnie spożywców opanowały wszystkie miasta i osady.

Na Ziemiach Odzyskanych jest już 4.523 różnorodnych sklepów spółdzielczych, tj. 21 proc. liczby krajowej. Wprawdzie obroty są stosunkowo mniejsze, potrzeba jednak wziąć pod uwagę małą siłę nabywczą tamtejszych osiedleńców. Wytwórni jest 1.431, czyli 22 proc. liczby ogólnej. Wykorzystanie warsztatów spółdzielczych jest jeszcze niezupełne; wartość produkcji stosunkowo mała. W przedsiębiorstwach spółdzielczych na terenie Ziem Odzyskanych znalazło zatrudnienie 31.155 osób.

*

Dołowy aparat spółdzielczy w Polsce wspierany jest przez 12 central gospodarczych i jedną rewizyjną.

Największą centralą gospodarczą jest, oczywiście, Związek „Społem". Obok niego istnieją jednakże niedawno powstałe zrzeszenia: Centrala Spółdzielni Wojskowych 2 centrale spółdzielni wytwórczych centrala spółdzielni ogrodniczych centrala spółdzielni transportowych Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane — jako centrala spółdzielni budowlanych i mieszkaniowych osobna centrala spółdzielni żydowskich „Solidarność". Poza tym jest państwowo - spółdzielcza Rolnicza Centrala Mięsna i wreszcie — przedwojenny o zmienionej tylko nazwie, Bank Gospodarstwa Spółdzielczego.

Centrale powyższe niosą wszechstronną pomoc spółdzielniom. Prowadzą dla nich 876 punktów sprzedaży hurtowej z asortymentem mieszanym lub specjalnym. Z tej liczby do Związku „Społem" należy 750 placówek hurtowych. Niektóre z central mniejszych prowadzą własne sklepy detaliczne, w liczbie 35 (przede wszystkim „Solidarność"). Roczne obroty handlowe central sięgają sumy 200 miliardów złotych.

Część towarów zresztą drobną, stanowiącą zaledwie 7 proc., hurtownie czerpią z własnych fabryk, których jest 395. Część pochodzi ze skupu rolniczego, jak masło, jaja, mięso. Znaczną większość towarów dostarczają monopole i przemysł państwowy. Spółdzielczość głównie rozprowadza wyroby monopolowe, tekstylia i cukier.

Dużą rolę w życiu spółdzielczości spełnia Bank Gospodarstwa Spółdzielczego. Dość powiedzieć, że kredyt dla całego ruchu przechodzi wyłącznie przez ten Bank. Potrafił on na rachunkach bieżących i wkładowo - oszczędnościowych zgromadzić 8 miliardów złotych, które wraz z kredytem w Narodowym Banku Polskim, sięgającym 18 miliardów, rozprowadził między spółdzielnie i ich centrale. Własne środki spółdzielczości, niestety, są jeszcze niewielkie. Spółdzielnie zebrały niepełne 3 miliardy, centrale 2 i pół miliarda.

*

Tak się przedstawiała siła organizacyjna i gospodarcza sektora spółdzielczego w dniu 1 października 1947 roku, w przeddzień gruntownej reorganizacji spółdzielni wiejskich oraz większości central. Unifikacja spółdzielni wiejskich w oparciu o gminne spółdzielnie Samopomocy Chłopskiej, podział „Społem" na centrale branżowe i połączenie niektórych mniejszych zrzeszeń w większe, dodanie centralom gospodarczym prawa rewizji, instrukcji, stworzenie niektórych zjednoczeń państwowo - spółdzielczych, stworzenie ogólnej nadbudowy ruchu w postaci Centralnego Związku Spółdzielczego — wszystko to ma na celu wzmocnienie spółdzielczości na wsi i drobnej wytwórczości wiejskiej, scentralizowanie ośrodków dyspozycji dla spółdzielni i większe powiązanie spółdzielczości z gospodarką państwową.

W nowych formach ustrojowych spółdzielczość musi się rozwijać, bo to jest dziejowa konieczność.

NAGRODZENI W GWIAZDKOWYM KONKURSIE KSIĄŻKOWYM „TYGODNIA"

Książkowy Konkurs Gwiazdkowy „Tygodnia" wywołał duże zainteresowanie, lecz niestety, wśród wielu nadesłanych odpowiedzi znalazło się zaledwie cztery bezbłędne. Większość czytelników uważa, że zagadka pierwsza odnosi się do „Kraty" Gojawiczyńskiej, podczas, gdy chodziło o „**Judasza" Roztworowskiego** i tylko ci, którzy dokładnie przyjrzeli się rysunkowi i być może wiedzieli jak wygląda „judasz" więzienny, odpowiedzieli trafnie.

Zagadka druga miała najwięcej rozbieżnych odpowiedzi. Zamiast „**Nocy wigilijnej" Dickensa** (dobra odpowiedź) podawano: Burka „Droga przez wieś", Andrzejewskiego „Noc", Dobraczyńskiego, „W rozwalonym domu", Zawieyskiego „Droga do domu", Słonimskiego „Droga na wschód", Morcinka „Wyrąbany chodnik", Brandysa „Miasto niepokonane", Bandrowskiego „Miasto mojej matki", Buntcha „Ojciec i syn", Boguszewskiej „Dwoje ludzi", Aragona „Dzwony Bazylei", Ziembickiego „Powrót" i dziesiątki innych tytułów.

W trzeciej zagadce niektórzy czytelnicy mylili Małaczewskiego z Miłaszewskim, a nawet z Iwaszkiewiczem i Reymontem. Byli i tacy, którzy zamiast „**Koń na wzgórzu" Małaczewskiego**, upatrywali w ilustracji „Drewnianego konia" Brandysa lub „Arkonę Gród Świętowita" Swirszczyńskiej. **Makuszyńskiego „Słońce w herbie"** nie budziło wątpliwości. „**Lalka" Prusa** przypomina niektórym „Przygody gałgankowej Balbisi" Broniewskiej i „Maleńką Doritt" Dickensa. „**Faraon" Prusa** dwukrotnie zastąpiony został przez „Egipt" Goetla. „**Medaliony" Nałkowskiej i „Perły i wieprze" Makuszyńskiego** były bezsporne.

Natomiast „**Grube ryby" Bałuckiego** niektórzy brali za „Ryby śpiewają w Ukajali" Fidlera, a nawet za „Cafe pod Minogą" Wiecha. Ostatnia zagadka „**Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej** sprawiła też wiele trudności czytelnikom, gdyż wielu upatrywało w niej „Starą cegielnię" Iwaszkiewicza, „Ziemię Elżbiety" Poli Gojawiczyńskiej, „Serce za tamą" Morcinka, „Ziemię obiecaną" Reymonta, „Dym" Konopnickiej, „Mój Żyrardów" Hulki-Laskowskiego i „W zadymionym słońcu" Morcinka.

W wyniku konkursu postanowiono przyznać nagrody książkowe czterem osobom, które odgadły bezbłędnie 10 zadań:

Grójnackiemu Erazmowi — Warszawa, Żoliborz, ul. Mickiewicza 27—128.

Grygerowej Kamilli — Warszawa, ul. Szustra 20a — 6.

Sochackiej Tatianie — Łódź, ul. Daszyńskiego 25—49.

Busiakiewiczowi Tadeuszowi — Warszawa, ul. Mickiewicza 24 — 7, oraz 9 nagród książkowych tym, którzy odgadli po osiem zadań bezbłędnie, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące jeśli idzie o dwie pierwsze zagadki, które rzeczywiście były trudne i trzeba było dużej uwagi, żeby odróżnić „Judasza" od „Kraty", lub zwrócić uwagę na kościół, gwiazdy, ludzi spieszących na pasterkę itp. szczegóły, aby stwierdzić, że to jest „Noc wigilijna", tym bardziej, że przynajmniej jedna zagadka musiała być związana z nazwą konkursu „Gwiazdkowy".

Dalsze więc nagrody otrzymali:

Bogucka Natalia — Łódź, ul. Dąbrowskiego 31 — 11.

Ługowski — Stępień Marian — Nakło, Oddział „Społem", pow. Wyrzysk.

Krynkowska Teresa — Opole, Grunwaldzka 19.

Maciołek Alicja — Opole Śl., ul. Grunwaldzka 42 „Społem".

Mężeńska Halina — Gdańsk — Wrzeszcz, ul. Potokowa 16 — 2.

Turbiński Stanisław — Warszawa, Twarda 61 — 50.

Grudziński Andrzej — Słupsk, Pl. Powstańców Warsz. 1 — 1.

Minchbergowa Edm. — Warszawa, ul. Stalowa 43 — 16.

Bagieńska Aleksandra — Gdańsk, Akademia Lekarska, Klinika Neurologiczna.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

NOWY KONKURS „TYGODNIA“

Zagadka 24 nie przyniosła żadnych niespodzianek i z wyjątkiem kilku osób — wszyscy odpowiedzieli, że rozwiązanie brzmi:

„Jajko mądrzejsze od kury“

W wyniku losowania otrzymali:

NAGRODY KSIĄŻKOWE

M. Komendecki — Chełm. Lub. ul. Trubakowska 45a.
Gąsiorowski Adam — Poznań, ul. Sołacka 17—2.
Eromberek Wiktor — Wągrowiec, Klasztorna 10.
Tomczak Irena — Łęczyca, ul. Przedrynek 8, woj. łódzkie.
Majewski Józef — Wrocław, Al. Brücknera 265.

PRENUMERATĘ KWARTALNĄ TYGODNIA“

Olyniec Zbigniew — Opole, ul. Ligonia 19—5.
Niemcowa Dorota — Bielsko, ul. Zielona 10—4.
Sambor Czesław — Lublin, ul. Głowackiego 20—3.
Pelikan Tadeusz — Łódź Chojny, ul. Prosta 13.
Seyrlhuber Maria — Andrychów, ul. Rynek 7.
Grabowski Krystyn — Tczew, ul. Dworcowa 24.
Dziubówna Jadwiga — Kraków, Piłsudskiego 28—20.
Hermanowiczowa Janina — Gdańsk Wrzeszcz, ul. Danusi 4c m. 1.
Borowski W. — Lublin, Krakowskie Przedmieście 19—9.
Ostromęcki Iwon — Zgorzelec, ul. Żeromskiego 24.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

Powyżej podajemy zagadkę Nr 27, za rozwiązanie której Redakcja przeznacza:

5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH ORAZ 10 NAGRÓD PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA“

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 15 lutego br.

KĄCIK BRIDGE'OWY

ZADANIE 2

W dzisiejszym kąciku podajemy przykład na tzw. „wielką paradę“.

	♠ K ♥ 10.9.7.5. ♦ A.K.3.2 ♣ K.8.6.4.	
♠ D.W.10.9 ♥ D.W.4.3 ♦ K.5. ♣ D.W.10	N W E S	♠ 4.3.2. ♥ — ♦ D.W.10.9.8.7. ♣ 9.7.3.2.
	♠ A.8.7.6.5. ♥ A.K.8.6.2. ♦ 4. ♣ A.5.	

„S“ wygrywa małego szlema w kiery.

Rozwiązanie zadania 1 podamy w następnym numerze.

L. B.

LISTA NAGRODZONYCH

w „Konkursie Gwiazdkowym na Rozrywki Umysłowe

Nadesłano 157 odpowiedzi, z czego 16 osób rozwiązało bezbłędnie wszystkie 11 zadań i te otrzymują nagrody książkowe (W następnym naszym „Konkursie Karnawałowym“ udział w losowaniu do połowy nagród wezmą nawet ci, którzy rozwiążą bezbłędnie chociaż jedno zadanie).

A. Grzyb — Żywiec, Gimnazjum Państwowe

Zofia Jeske — Łódź, Al. I Maja 73—41.

Zygmunt Zwolski — Pabianice, ul. Żelazna 15.

Janusz Janiewicz — Sosnowiec, ul Żymierskiego 48—6.

Edmund Świderski — Łódź, ul. Abramowskiego 1—3.

Erazm Grójnacki — Warszawa, ul. Mickiewicza 27.

Irena Salm — Łódź, ul. Mostowa 5

Witold Nowicki — Radość, Al. 3-go Maja 10a.

Jadwiga Wakierówna — Łódź, ul. Nawrot 20—2.

Leonard Bielski — Łódź. Ruda Pabianicka, ul. Mickiewicza 18.

Dorota Niemcowa — Bielsko Śl. ul. Zielona 10—4.

Andrzej Salm — Łódź, ul. Mostowa 5.

Władysław Lubnaar — Zgierz, ul. Szczęśliwa 1.

H. Szumerowska — Sosnowiec, ul. Lwowska 3—57.

Ignacy Janowski — Łódź, ul Piotrkowska 25—47.

W. Wołoszyńska — Warszawa, ul. Piotra Skargi 62

W wyniku głosowania uczestników Konkursu nagrody autorskie za trzy najlepsze zadania otrzymali:

1. Kazimierz Krauzowicz — Swoszowice k\Krakowa — za wirówkę gwiaździstą.

2. Wiesław Nowicki — Warszawa, ul. Twarda 62—14 — za przekładankę.

3. Tadeusz Kubiczek — Świętochłowice kop. „Polska“ — za rebus.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą.

KARNAWAŁOWY KONKURS

NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

W numerze 1(77) ogłosiliśmy nowy „Karnawałowy Konkurs" na rozrywki umysłowe, który trwać będzie do dnia 8 lutego br. i w którym podamy najbardziej urozmaicone typy zadań Za rozwiązanie każdego przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. Pomiędzy zwycięzców konkursu rozlosowanych zostanie 10 nagród książkowych, a pomiędzy pozostałych, którzy odgadną przynajmniej jedno zadanie — 10 nagród pocieszenia (również książkowych).

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 22 lutego br.

Za trzy najlepsze zadania wytypowane przez czytelników przyznane będą trzy nagrody autorskie.

Prosimy o nadsyłanie ciekawych zadań oraz projektów nowych konkursów.

PERÓWKA

Znaleźć 9 wyrazów o następującym znaczeniu: Imię żeńskie. Inaczej „nie pochwali“. Koło zębate. Podmorski albo podziemny drut telegraficzny. Najbliższy członek rodziny. Zgraja, szajka, Rodzaj powrozu. Bazie. Tkanina żałobna.

Do każdego ze znalezionych wyrazów należy dodać po jednej nucie spośród umieszczonych na rysunku, w ten sposób, aby z liter każdego wyrazu i dodanej nuty można było ułożyć po odpowiednim ich ustawieniu nowy wyraz siedmioliterowy.

Dziewięć nowoutworzonych wyrazów rozmieścić w rządkach poziomych podanej figury tak, aby środkowy rządek pionowy dał rozwiązanie, które narzuca już sam rysunek

Orzech

W ubiegłym tygodniu nagrodę w postaci książki L. H. Morstina p. t. „Kłos panny“ otrzymał **p. Władysław Matyaszewski** (Lublin. ul. Mochnackiego 15) za nadesłanie dwóch poniższych wycinków z „Życia Lubelskiego“ Nr 189).

AMERYKAŃSKA DROŻYZNA

NOWY YORK. Od chwili zniesienia kontroli cen w U.S.A. tj. od końca czerwca r. 1946 do chwili obecnej w całym szeregu surowców oraz w zbożu zaznaczyła się znaczna zwyżka cen. Ołów zdrożał z 8,25 centów na 15 centów za funt, miedź z 14,375 centów do 2 centów za funt...

Zwyżkę z czternastu centów do dwóch centów społeczeństwo amerykańskie wytrzymuje podobno z tą samą łatwością i łagodnym humorem, z jakim my wytrzymujemy np. zniżkę taryfy pocztowej z 5 zł. do 15 zł. za list zwykły.

„ŻYCIE LUBELSKIE“ NIE ROZUMIE ŻYCIA

Zarząd Miejski w Lublinie, mając na względzie d o b r o dziatwy, rozebrał znajdujące się na dziedzińcu szkoły powszechnej piwnice, które zajmowały niepotrzebnie sporo miejsca i tak niezbyt dużego dziedzińca. Byłoby jednak jeszcze lepiej, gdyby zasypano pozostały po rozbiórce dół, który służy teraz za śmietnik, uniemożliwiając w ten sposób uczniom dostęp do placu.

„Byłoby jeszcze lepiej“ — powiada „Życie Lubelskie“. Bardzo niemądra uwaga. Magistrat lubelski wie, co czyni, nie zasypując dołu. Stopniowo dół się sam zasypie śmieciami. W ciągu mniej więcej roku. Po dwóch latach ukaże się już nad nim pewne wzniesienie. Po trzech latach wyrośnie górka i dzieci będą miały skąd zbiegać. Jest to dokładnie przemyślane i rozplanowane, a „Życie Lubelskie“ pcha się tu z jakimiś zacofanymi uwagami.

ROZLEWNIA OLEJU

Sklepu w śródmieściu Wrocławia z magazynami z dobrym dojazdem powierzchni około 150 kilometrów kwadratowych na rozlewnię oleju potrzebujemy natychmiast („Słowo Polskie“ z dn. 23.12.1947 r., nadesłał p. Józef Drzazga z Góry Śląskiej).

Niech czytelnik nie sądzi, że zaszła tu omyłka, że powinno być: 150 metrów kw. Nie. Rozlewnia oleju musi być istotnie gigantyczna. bo olej potrzebny jest bardzo nam wszystkim.

PROSIMY PAMIĘTAĆ O ODNOWIENIU PRENUMERATY NA LUTY

UWAGA: Na liczne odpowiedzi Czytelników, wyjaśniamy, że „Rozrywkę“ nabyć mogą nie tylko członkowie Polskiego Klubu Szaradzistów, ale wszyscy zainteresowani rozrywkami umysłowymi. Zamawiać ją można w Dziale Rozrywek Umysłowych „Tygodnia“.

TYDZIEŃ Kobiety

Dbajmy o czystość mieszkania

Czystość mieszkania i czystość powietrza w mieszkaniu to najlepszy bilet wizytowy pani domu, mówiący zaraz na wstępie o jej zapobiegliwości i trosce o zdrowie rodziny. Utrzymanie mieszkania w czystości i wzorowym porządku nie jest rzeczą trudną, jeśli uważa się na to systematycznie i podejmowane czynności wykonuje do kładnie. Podajemy tutaj kilka praktycznych porad i wskazówek, które ułatwiają staranne oczyszczenie mieszkania.

Dobrze jest myć szyby, pocierając je raz koło razu świeżym ,surowym, pokrajanym w talarki kartoflem. Potem — spłukać czystą wodą i wytrzeć dokładnie.

Jeżeli dodać odrobinę denaturatu do wody, szyby schną prędzej. Bardzo brudne szyby myje się mocnym octem, płucze czystą wodą i wyciera do sucha. Szyby niedawno myte, ale już lekko zakurzone dobrze jest przecierać zmiętym zadrukowanym papierem, najlepiej gazetą i to możliwie świeżą, gdyż chodzi tu o działanie far by drukarskiej.

Plamy od much zmywamy z matowych szyb za pomocą spirytusu lub bardzo rozcieńczonego kwasu solnego, plamy tłuste — benzyną.

Piece kaflowe oraz żelazne emaliowane myjemy wodą zmieszaną z mydłem, sodą i odrobiną salmiaku.

Wanny myje się roztworem szarego mydła i salmiaku. Potem zaraz zmywa się gorącą wodą z sodą, a wreszcie czystą wodą i wyciera starannie do sucha.

Muszle w w. c. myjemy rozcieńczonym kwasem solnym.

Nie obojętną też rzeczą jest sprawa utrzymania w mieszkaniu czystego powietrza. Zbyt mało zwraca się uwagi na konieczność usuwania przykrych zapachów kuchennych. Przede wszystkim należy pamiętać o zamykaniu drzwi do kuchni w czasie gotowania obiadu. Natomiast górne okno powinno w kuchni być uchylone, aby osoba gotująca miała stały przypływ świeżego powietrza, co zabezpiecza jej oczy i płuca od wchłaniania oparów kuchennych.

Smacznego

LIN A LA FLACZKI

1 kg lina, ¼ litra śmietany, 10 dkg masła. 25 dkg włoszczyzny, 1 mała cebula, 3 dkg mąki, imbir, majeranek, sól pieprz.

Z oczyszczonej surowej ryby wyjąć ości pokrajać mięso na cienkie paski i obsmażyć w maśle. Cienko pokrajaną włoszczyznę i cebulę udusić z masłem. Następnie — przesmażyć mąkę z masłem, rozprowadzić rosołem, uprzednio wygotowanym z ości i zaprawić śmietaną; przyprawić korzeniami i wymieszać z przysmażoną rybą i jarzynkami. Poddusić.

ŚLEDZIE W SOSIE POMIDOROWYM

1 kg przydziałowych śledzi namoczyć na 1 — 1½ doby. Po wyjęciu z wody — oczyścić, podzielić na połówki i wybrać ości. Smażyć na oleju wytaczane w mące. 4 duże pokrajane cebule poddusić na pozostałym oleju. Zalać je pomidorami z butelki lub pomidorowym sokiem z puszki. Następnie cebulę z pomidorami razem zagotować i zalać tym śledzie

Aforyzmy o kobiecie

Ażeby dać pojęcie o piękności aniołów, wyobrażają ich w postaci kobiet.
Otway

Najgłupsza z kobiet, jeżeli tylko nie jest zakochana, ma więcej rozumu od rozkochanego mężczyzny.
P. J. Stahl

Na stu mężczyzn znajdziecie zaledwie jednego rozsądnego; na sto kobiet — zaledwie jedną głupią.
M-me de Girardin

Wszystkie rozumowania mężczyzny nie warte są jednego uczucia kobiety.
Voltaire

Najgłupsza z kobiet zrozumie dokładnie miłość, najinteligentniejszy mężczyzna pojmie ją zaledwie w połowie.
M-me C, Fée

Higiena i ZDROWIE

Zabiegi zdrowotno-kosmetyczne pani 40-letniej

Pani 40-letnia powinna, obok umiejętności maquillage'owych, opanować również — a nawet w pierwszym rzędzie — sztukę konserwowania swej urody, czyli sztukę zachowania młodości.

Podstawą wszelkich zabiegów kobiety czterdziestoletniej powinno być przede wszystkim dobre zdrowie. Jeżeli pani coś dolega, niewiele pomogą najlepsze nawet kremy i pudry.

W codziennym rozkładzie zajęć czterdziestoletnia pani powinna pomieścić i lekkie ćwiczenia gimnastyczne i spacery, krótką drzemkę i kąpiel.

Jeżeli pani jest nerwowa lub przemęczona, powinna jak najczęściej brać letnią kąpiel w dobrze ogrzanym pokoju, po której należy się zdrzemnąć lub wypocząć przez pół godziny.

Jeżeli pani jest zupełnie zdrowa, powinna brać rano zimny prysznic lub nacierać się gąbką.

Jeżeli jest anemiczna, powinna mocno nacierać ciało szczotką, w ciepłej wannie. Po natarciu ciała ciepłą wodą, należy oblać się wodą chłodną, a następnie wytrzeć ciało ręcznikiem przesyconym solą. W tym celu należy poprzedniego dnia wieczorem zanurzyć ręcznik kąpielowy w roztworze soli kuchennej z wodą, wyżąć go i powiesić. żeby wysechł. Tym suchym ręcznikiem trzeba nacierać ciało tak mocno, aż skóra zacznie się rozgrzewać, a potem przypudrować lekko całe ciało talkiem.

Po kąpieli należy poświęcić kilka minut na ćwiczenia oddechowe i tzw. wolne. Dobrym ćwiczeniem jest zginanie się w pasie i dotykanie podłogi, na co wystarczą 2 minuty. Przez drugie 2 minuty należy starać się wykonać 20 głębokich wdechów.

Niesłychanie ważnym czynnikiem dobrego wyglądu jest oczywiście cała postawa, a więc lekkość chodu, łatwość w siadaniu i wstawaniu, ramiona wygięte do tyłu, brzuch wciągnięty.

Doskonałe jest następujące ćwiczenie: w pozycji leżącej na podłodze, twarzą wdół, nie ruszając nogami, podnieść tak wysoko głowę i ramiona, ile można. Powtarzać to ćwiczenie z początku pięć razy, potem stopniowo powiększać do dziesięciu. Po tym ćwiczeniu, wciąż leżąc na podłodze, wyciągnąć ramiona na boki i podnieść je w górę tak wysoko, ile się uda. Powtarzać to stopniowo od 5 — 10 razy.

Pani powinna dbać o swój podbródek i szyję, po których najłatwiej poznać ślady lat. Starać się jak najmniej myśleć o rzeczach przykrych, ponieważ takie rozmyślania powodują powstawanie zmarszczek.

BŁYSZCZĄCE NOSY

Błyszczący nos jest utrapieniem wielu kobiet. Narzekają na to przede wszystkim osoby o cerze tłustej. W pierwszym więc rzędzie osoby te powinny starać się o zmniejszenie stopnia tłustości skóry.

Błyszczący nos jest zazwyczaj świadectwem działania najgorszych wrogów piękności — złej przemiany materii i niestrawności. Zaradzić temu można przede wszystkim przez zachowywanie odpowiedniej diety.

Gdy cera jest tłusta, należy unikać tłustych pokarmów. Masło, śmietanę, szynkę, sosy — można jeść w bardzo umiarkowanych ilościach, a najlepiej nawet nie jeść w ogóle, jeżeli się cierpi na przetłuszczenie skóry. Pić sześć do ośmiu szklanek wody dziennie — po dwie między porami posiłków.

Przy tłustej cerze wskazane jest uprawianie sportów: gdy warunki na to nie pozwalają, należy gimnastykować się przynajmniej 10 minut dziennie, przed śniadaniem. Nawet te krótkie ćwiczenia poranne usuwają ospałość, pobudzając krew do intensywniejszej cyrkulacji, dzięki czemu zmniejsza się nadmiar tłuszczu.

Takie są środki naturalne. Przejdźmy teraz do środków kosmetycznych.

Ponieważ tłusta twarz wymaga dużo mydła i wody, należy rozrobić mydło w ręku i wcierać mydliny w twarz tak, jakby się stosowało krem. Spłukać twarz najpierw ciepłą, a potem zimną wodą.

Wysuszyć twarz i skropić ją ściągającym płynem. Dopiero po wyschnięciu płynu można przystąpić do właściwego zabiegu kosmetycznego, stosując już normalnie kremy i puder.

POZNAJMY NASZYCH ARTYSTÓW

Stanisława Engelówna

Stanisława Engelówna, doskonała artystka dramatyczna występuje ostatnio z olbrzymim powodzeniem w uroczej amerykańskiej komedii Roxy. Publiczność warszawska pamięta ją jednak głównie z filmów, bo któż jej nie widział w „O czem się nie mówi", „Serce Matki", „Florian", we „Wrzosie" lub „Renie", gdzie kreowała główne role kobiece. Engelówna jest jednak par excellence artystką dramatyczną. Po ukończeniu w r. 1935 Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej zostaje zaangażowana do Teatru Narodowego w Warszawie i tu pozostaje aż do wojny. W okresie wojennym przebywa na wsi w zaciszu domowym, nie występując nigdzie ani nawet nie udzielając się towarzysko. Po powrocie z tułaczki popowstaniowej angażuje się do Teatrów Miejskch w Warszawie, gdzie gra w „Damach i huzarach", „Subretce", jedyną rolę kobiecą w „Trasie", a ostatnio w „Roxy".



Stanisława Engelówna

KĄCIK FILATELISTYCZNY



W ostatnim numerze grudniowym (Nr 35-36) wychodzącego trzy razy w miesiącu austriackiego pisma filatelistycznego „Neue Sammlerschau" znajdujemy cały szereg kasowników pocztowych różnych zdrojowisk, miejscowości klimatycznych i turystycznych.

Choć styczeń rozpoczął się iście wiosenną pogodą, mamy przecież sezon sportów zimowych i dlatego reprodukuję dwa z tych kasowników: Kitzbühel i St. Anton am Arlberge, dwa raje narciarzy. Czynię to nie dla reklamy tych miejscowości, lecz dla wskazania naszym władzom pocztowym, jak wiele w tej dziedzinie mają jeszcze do zrobienia. Ładny i pomysłowy kasownik jest często najlepszą i co najważniejsze — najtańszą reklamą.

Pierwszy numer styczniowy tegoż pisma przynosi sporo danych filatelistycznych, w związku z wprowadzoną w Austrii w dniu 9 grudnia ub. r. reformą walutową.

„Data ta — czytamy w rubryce „Osterreichisches Allerlei" tego pisma — musi przejść do historii poczty austriackiej, gdyż tego dnia — w związku z reformą walutową — zostały unieważnione wszystkie znaczki pocztowe. Kasownik z tego dnia, na wszystkich znajdujących się wtedy w obiegu znaczkach, ma w każdym razie wartość filatelistyczną".

W związku z unieważnieniem znaczków, zarząd poczty znalazł się w konieczności uzupełnienia braków nowymi wydaniami. By móc to zrobić możliwie jak najszybciej, postanowił obiegowe znaczki, w ilości 16 sztuk, wydrukować w zmienionych kolorach: wartości groszowe barwy czerwonej, a szylingowe — czerwono - fioletowej.

Mimo to drukarnia nie podołała wydać pracy, gdyż 10 grudnia znalazły się w okienkach pocztowych, tylko znaczki po 10, 20 i 40 groszy. Dnia 13 grudnia, w związku „z dniem znaczka pocztowego", ukazał się w Wiedniu jeszcze znaczek o nominalne 1 szyling. Do końca grudnia więcej wartości nie dopuszczono do obiegu, tak że przesyłki zagraniczne i przekazy pocztowe zaopatrywali urzędnicy pocztowi w stempel „opłacono gotówką".

Swoją drogą koperty z takimi pieczątkami winny także znaleźć się w zbiorach naszych filatelistów, kolekcjonujących Austrię.

Witold Orłowski

PRZEPIS NA SZCZĘŚCIE MAŁŻEŃSKIE

Włożyć do wielkiego garnka dużą porcję cierpliwości i wytrwałości, taką samą dozę dobrego humoru i najlepszej woli. Zszumować starannie, aby nie było egoizmu i lenistwa. Gotować długo, nie odchodząc od ogniska, a przygotuje się w ten sposób smaczne szczęście małżeńskie.

B-[illegible]







Z MYŚLĄ O SEZONIE WIOSENNYM

Chociaż jeszcze styczeń udaje zimę, chociaż jeszcze pełnia karnawału, zaczynamy jednak już myśleć o wiośnie. Co nam przyniesie moda wiosenna? Czy w dalszym ciągu będzie się twardo upierała przy niefortunnych „materiałożerczych“ imperatywach? Czy może widząc zdecydowaną niechęć i dezaprobatę kobiet całego świata do swoich jesienno - zimowych pociągnięć — moda radykalnie zmądrzeje przed sezonem wiosennym? Dowiemy się o tym już w tygodniach najbliższych. Sądząc jednak z „pierwszych jaskółek“ nowego sezonu, z których kilka reprodukujemy na tej stronie, możemy być raczej optymistkami.

Fot. z lewej: model „The Ambassador“. Fot. środkowa powyżej: model „Sport and General“ — Londyn. Fot. z prawej u góry: „Bull“ — Stockholm. 8 sportowych bluzeczek poniżej — modele „Figurines“









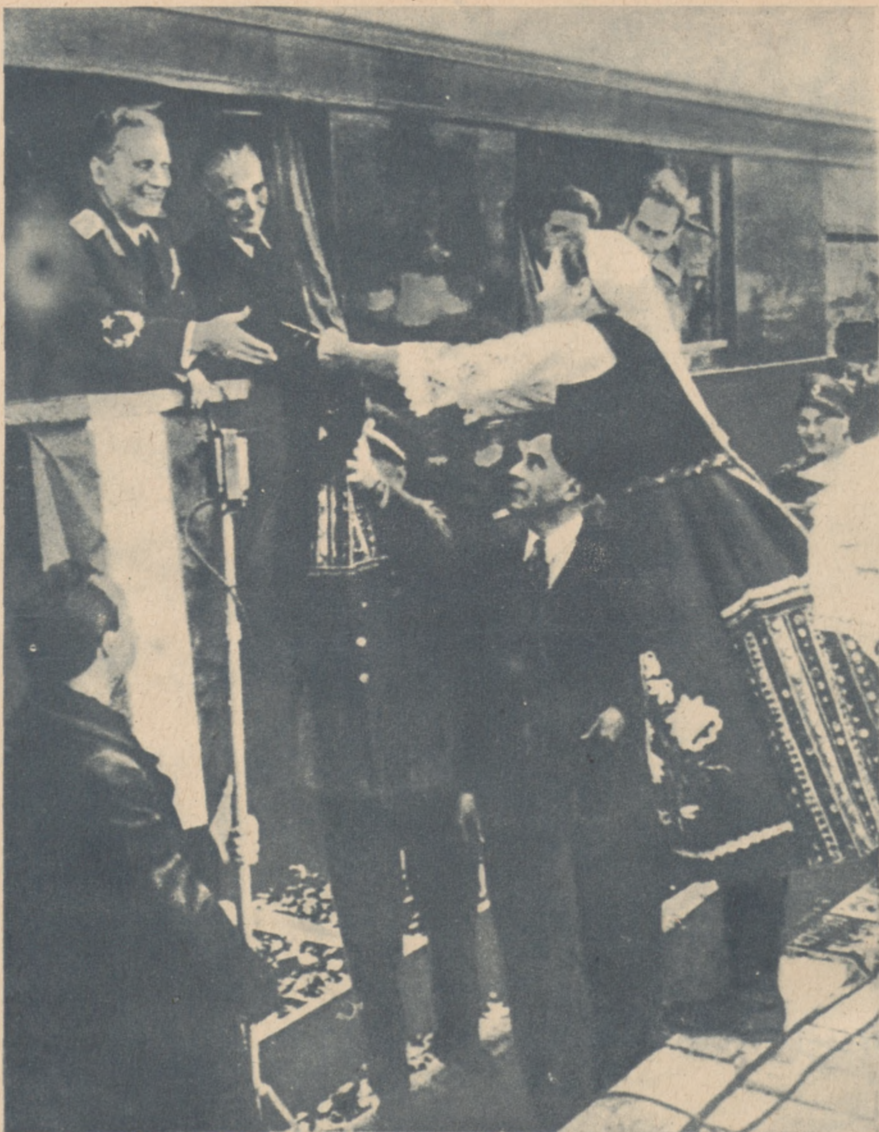








Z SZEROKIEGO świata



Marszałek Jugosławii J. Broz - Tito podpisał ostatnio traktat wieczystej przyjaźni z Republiką Bułgarską. Na zdjęciu serdeczne pożegnanie Marszałka Tito i delegacji jugosłowiańskiej, opuszczającej gościnną ziemię bułgarską



Część załogi łodzi podwodnej „Ambush" („Zasadzka"), która w najbliższym czasie ma wyruszyć na wody podbiegunowe w celach naukowych. Granicą tej podwodno - badawczej ekspedycji będą okolice Spitzbergenu, gdyż bardziej na północ należałoby już płynąć pod lodami



Na oko dziwoląg, a jednak ten dziwoląg znakomicie lata. Prototyp najnowszego helikoptera amerykańskich sił powietrznych. Cała maszyna waży około 310 funtów angielskich i może zabrać na swój „pokład" c-ca 300 funtów dodatkowego obciążenia



Nie łatwo zgadnąć, co ilustruje ta fotografia. Odpowiedź znajdą Czytelnicy wewnątrz numeru na stronie 12 w artykule: „Elektrony zrobiły przewrót w mikroskopii"



Heinrich Himmler, największy zbrodniarz w historii świata — oprawca Europy w kilkanaście minut po zakończeniu swej „ziemskiej działalności". Patrz artykuł na stronie 8 wewnątrz numeru

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".
Redaguje: zespół redakcyjny. Redakcja rękopisów nie zwraca.
Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Telefon 86-164.
Redaktor przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od 11 — 13.
Drukarnia R. S. W. „Prasa" Z. S. W-wa, Smolna 12, i Zakłady Wklęsłodruk R. S. W. „Prasa" W-wa, Mariensztadt 8.

TYDZIEŃ

Administracja: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Telefon 88-715.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna 450 zł, roczna 900 zł.
Konto P.K.O. Warszawa, Nr I 4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddział Wojewódzki, Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm na szerokość 1 szpalty — 120 zł, w kolorze 50 proc. drożej.